Nr. 1. Lwów, dnia 1. Stycznia 1894. Rok XVII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z NOWYM ROKIEM.

Jak strzał w kniei przeminął szybko rok, i jak echo wśród borów, rozpływa się wspomnienie jego w przestrzeni nieskończonej. Niejedno się zmieniło, niejeden padł w pochodzie — ale drużyna myśliwska ścieśnia szeregi, powołuje nowych towarzyszy pod broń, i idzie naprzód, szukając dalszych przygód i tryumfów łowieckich.

Spotyka ją Nowy Rok, a na sztandarze jego wypisano coś więcej, niż gonitwy za szarakiem, podchodne na rogacza, lub tropienie za dzikiem.

— Wróćcie wspomnieniami w waszą przeszłość — woła Rok Nowy do drużyny łowieckiej — przerzućcie wasze trofea i zapiski łowieckie, zaglądnijcie między resztki myśliwskiego rynsztunku waszych ojców i pomyślcie, że was czeka w tym roku popis wielki i zaszczytny, że macie na powszechnej Wystawie krajowej dać obraz myśliwstwa polskiego, jakiem było, jakie jest i jakiem być powinno.

— Nie płocha to zabawka, a rzecz godna męża energicznego i świadomego tej prawdy, że tam, gdzie zbiorowa chwała i siła narodu ma się uwydatnić, nie wolno się usuwać nikomu. Jeden oszczep starych czasów, jedna prochowniczka misternie wyrabiana — jedna tablica strzałowa z nowszych polowań, para wieńców, parostków i dziczych szabel, bodaj ptak rzadki ubity w przelocie — wszystko, wszystko może być przydatne, aby złożyć całość okazałą. Tylko trzeba podsypać garstkę prochu i apatyę z dusz waszych wysadzić w powietrze — tę apatyę, która was rozprzęga na jednostki, która jak rdza przegryza ogniwa łączności w drużynie łowieckiej...

Tak mówi Rok Nowy do myśliwych na różnych stanowiskach i ma słuszność. Pod sztandar usług dla powszechnej Wystawy krajowej, do pracy szczerej i serdecznej, ażeby wytworzyć godny kraju naszego i przeszłości naszej dział łowiecki na Wystawie — powinien się każdy myśliwy dziś zaciągnąć.

Z tą zatem główną myślą programową w szeregu prac i zabaw łowieckich na rok 1894 zbliżamy się do przyjaciół *Łowca* i przesyłamy im serdeczne „Szczęść Boże!“

Wśród zatopu.

Skreślił

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

W wielką głębię cofnęły się kędyś niewygasłe ognie na tym pasku ziemi, zamieszkałym przez nasze plemię. Nie odczuwamy nawet słabych paroksyzmów strasznego żywiołu, nurtującego wnętrzności naszego planety, nie trzęsą się nasze posady, nie dymią nasze góry siarczystym wyziewem. Gdzieś aż w oddalonych krainach szturmują ku powierzchni ziemi ukryte siły i znajdują tam ujście wezbranej energii. To też w tym kierunku bezpieczna nasza chata; nie zasypią jej z pewnością podziemne popioły, nie zaleją niw naszych ognistej lawy potoki. Ale inna klęska spada na nas od czasu do czasu z jasnego nieba, przecina niebieskie zasłony i rozszalały żywioł wody zatapia całe połacie krajów niszcząc w jednej chwili dobytek i całoroczne starania ziemianina.

Jako długoletni mieszkaniec brzegów Dniestrowych, właśnie w miejscu, skąd roztacza się najstraszniejszy widok na skutki kaprysów naszych rzek górskich, gdzie zalewy są bardzo pospolitą a w ostatnich latach po kilka razy do roku powtarzającą się klęską, mógłbym jako naoczny świadek tego strasznego gospodarstwa żywiołu, skreślić niejeden bolesny epizod wylewów. Nie chcę wszakże uderzać w bolesną strunę nieporadności i zaniedbania regulacyi rzek, która i tak jęczy prawie bezustannie w prasie codziennej i pragnę w niniejszym szkicu dotknąć jedynie wspaniałej strony medalu, jaką obok strasznych objawów posiada i powódź. Klęska ta elementarna wytwarza bowiem i w kierunku przyrodniczo-myśliwskim oryginalny stan rzeczy, wywołuje mnóstwo nowych wrażeń, przygłuszających swym ogromem i wspaniałością ponure myśli, które się budzą w każdym naddniestrowym mieszkańcu, na widok podkopanej egzystencyi, a nawet nędzy grożącej całym pasmom kraju. I tutaj, w pośród natłoku nieszczęść, przebija się pogodny umysł Słowianina, i tu wśród ogromu klęski maluje się obraz sielanki, a duch krzepi się bodaj mglistą nadzieją, że i w samem źródle złego tli jeszcze zaród błogich na przyszłość skutków.

— Ten rok przepadł bezpowrotnie — niech się dzieje wola boża! — rozbrzmiewa steoretypowo nad brzegami zatopu — ale co to będzie na rok przyszły? co to za trawy, jakie to koniczyny wyrosną na namułach?

I dumka nadziei wplata się w czarną kosę nieszczęścia...

Wplatałem i ja w tę kosę moje różowe kombinacye agronomicznej przyszłości i nie było końca śmiałym nadziejom — a gdyby to wszystko ziścić się miało, rok przyszły zaćmiłby najśmielsze mrzonki nadnilowego mieszkańca.

Gdy woda przybywała, chłopek, który na ściel chaty musiał przed nią uciekać, mawiał:

— Woda to durnycia! koby tylko ne p u s t a.

I w nadziei, że nie będzie pusta, zasypiał spokojnie na dachu swej nędznej lepianki, którą wokół wody objęły, marząc błogo o tych rybach, które miały pokryć wszelkie straty, jakie mu powódź wyrządziła, i o tej „ptyci“, której swobodne gromady ściągnąć się miały wkrótce na nieprzejrzany okiem zatop.

Jeszcze dni kilka dzieliło nas od jesiennego przesilenia dnia z nocą. Od dłuższego czasu piękna pogoda wynagradzała nam wiosenne słoty i zimna, dozwalając resztki spóźnionych plonów zebrać do gumna. Ustawa zapraszała już wprawdzie do kniei, ale wygląd jej nie wabił myśliwego; jeszcze wszystko tam ciemne, zasłonięte gąszczem liścia, zwierz wśród matni zielonej ukryty lub w polach i łąkach rozprószony, a myriady zjadliwych owadów odbywają w słońcu swe pląsy. Dzięki za takie łowy! Wolę pozostawić je dla szczególniejszych amatorów, wolę zaczekać, aż kilkudniowa chłodna słota o tej porze „gdy noc światło zmoże“, wywoła i w kniei nagłe a pożądane zmiany. Wtedy jakby za dotknięciem ruszczki czarodziejskiej znikną dokuczliwe owady; ledwie około południa przypomną jeszcze pojedynczemi bzykaniami, że się tu kiedyś roiły, a cała przyroda kniei z każdym dniem coraz bogatsze na swej palecie rozścieli barwy. Jasnożółtym liściem pozłocą się graby, jawory i brzozy, w coraz to brunatniejsze barwy wtapiać się będzie ciemna zieleń dąbrów, szkarłat czereszni przeplecie czerwoną żółcizną wielkich powierzchni leszczyny, purpurę na czas krótki przyoblecze czeremcha, a w gęstym cieniu lasu fiolet świdwy jeszcze głębiej pogrąży niepokaźną krzewinę. Dopieroż na tym kobiercu ciepłych barw i pojedyncze drzewa szyszkowe wystąpią dobitnie w swych kształtach, odbiją się w oddali kontury sino-zielonych sosen i czarno-zielonej świerczyny. Gdy tę cudną a przelotną mozaikę barw jesiennych zaczną układać dnie jesienne — to znak, że przyroda leśna do snu zimowego układać się zaczyna, i w tak przystrojonym a coraz to świetlejszym przybytku czas rozpocząć łowy. I chwila ta musi nadejść, czy susza dłuższa zapanuje, czy rzęsiste spadną wody, skutek zawsze jednakowy — bo zmiana ubarwienia liścia tak ściśle się łączy z transpiracyą drzewa w obec coraz to zniżającej się temperatury powietrza — że w tym układzie palety barw jesiennych nie może być ani dnia przerwy.

Śmiałe nadzieje roku zeszłego bodaj w części ziściły się w roku bieżącym. W samej rzeczy wyrosły bujne pasze na użyźnionych namułem pobrzeżach, płodozmian natury w najkorzystniejszy dla nas ujawnił się sposób. Dawno niewidziane różnobarwne konicze przetkały gęstą zieleń traw, bogatym kobiercem kwiecia świeciły się łąki, używały bydlęta na sytnej paszy. Korzystna pora dozwoliła wszystko uprzątnąć. I było nam błogo na duszy i lekko na sercu, tem bardziej, że jeszcze zapowiadały się piękne otawy, miękkie pasze, na których w licznych trzodach urość miała korona dobrego lata.

Ale poczekaj! poskrom twą zbytnią chciwość zapamiętały śmiertelniku, gromowładnemu podziękuj, że ci dozwoli sprzętu siana, i nie buduj zamków na lodzie! Patrz, tam od zachodniego południa podnoszą się już niby tumany w przeźroczej atmosferze. Zbliżają się coraz bardziej Karpaty, z oddalonych siół słychać dźwięki cerkiewnych dzwonów... To zbliża się słota!

Na naszych dołach jeszcze jasne świeci słońce, skryją go jednak wkrótce szarych chmur płaszcze, okrywające już

firmament do zenitu. I przez trzy dni do południa oświeca nas słońce, a resztę dnia kryje promienie jego mroczny, stale zachmurzony zachód, i ustał dość żywy do niedawna wiatr, przegnawszy całe masy pary wodnej gdzieś aż od brzegów oceanu.

Niewzruszenie stoją chmury na południowym zachodzie, cisza nad ziemią, lecz wrze w górnych strefach, mroki spuszczając się ku ziemi kryją wreszcie pyszne pasmo Karpat. To chłód północnych stoków gór naszych skroplił wyziewy oceanów i tam gdzieś u źródeł Dniestru, Bystrzycy, Tyśmienicy i Strwiąża nie pada, ale leje.

Na dołach jakaś dziwnie duszna panuje atmosfera, mała dniestrowa woda gdzieś w głębokiem krętem płynie korycie, i wszystko w ciszy przygotowuje się do wielkiego dramatu, którego zapowiedź już odkrywa oko nadbrzeżnego mieszkańca. Od pasących się stad bydła głośne i w rozmaitych tonach powtarzane ryki, każą się domyślać, iż wśród bujnej, miękkiej otawy, zabrakło czegoś przeżuwaczom. Nie wracają one jak zwykle spokojnie na swe nocne koszary, lecz rozbiegają się po całym przybrzeżnym obszarze, ocierają się o krzaki i zarośla, chowają w gąszcza przed napaścią krwichciwych owadów. I długo jeszcze wśród mroków wieczornych rozbrzmiewają nawoływania i zaklęcia pastuchów; wreszcie wszystko zagnano na nocne leże, jasne płomienie ognisk znaczą każdą nadbrzeżną koszarę, przy której zasiadają pastuchy do wieczerzy. Powoli gasną i ogniska, cisza i ciemność wszystko zalega, a tylko od czasu do czasu błyskawica oddalona oświeca ścielące się po ziemi dymy niedodogasłych ognisk.

I minęła znów noc jedna, i zeszło znowu żółte słońce za mgły welonem, który gęstnąc coraz bardziej skrył wreszcie wesołe jego promienie. Ponurej barwy dzień się roztacza. Nie dostrzeże jeszcze oko wielkiej zmiany w stanie wód rzeki; gonią się tylko po jej powierzchni kłęby piany o jakiejś trupiej barwie, i unoszą się niby twarz topielca kaprysem prądów i wirów. I coraz gęściej i w większych kłębach toczą się piany, a wkrótce i woda się podnosi, coraz widocznej, coraz to mętniejsza i gęstsza. Zła to wróżba i niedobrej wieści posły przeciągają teraz wzdłuż koryta w górę rzeki. Żałobnego pióra krzykliwe i drapieżne mewy gdzieś na brzegach nadmorskich dowiedziały się, iż wśród dalekich lądów otwiera się nowa spiżarnia. Snać po zmianach ciśnienia atmosferycznego poznał dokładnie ten żywy barometr co się święci, przeczuł skutki i podróżuje teraz wesół i pełen nadziei. Tam na słodkich wodach znajdzie jakąś w życiu rozmaitość. Niewiele by mnie kosztowało trudu sięgnąć rusznicą po kilka tych ptaków lekkiego ciała a ciężkiego lotu, ciągnących szeregiem wydłużonym, ale teraz nie miałem do tego weny; myśl kręciła się około losu moich bydlaków, które pasąc się w najlepsze w około mnie, całą swą kłopotliwą przyszłość na moją zwaliły głowę. A szkoda, bo tak rzadko zdarzające się sposobności strzałów nie powinny być zaniedbane! Wszak tam, wśród tych okolicznościowych gości, przelatuje niejeden egzemplarz, mogący zainteresować nietyle może myśliwego ile specyalnego ornitologa, przeleci tam i srebrzysta mewa (*Larus argentatus*), zamajaczy żałobnem skrzydłem i zniknie na długo, wracając gdzieś innym szlakiem do swych oczakowskich brzegów.

Ale ja tu zastanawiam się nad rzadkiemi okazami ornitologicznemi, a tymczasem wody coraz bardziej przybywa i trzeba się wynosić z najzwyklejszemi okazami fauny domowej, bo wkrótce może być za późno. Coraz to gwałtowniej toczą się piany, coraz to nowe podnoszą się wały i dzikie wiry rwą gliniasty brzeg koryta, a przed wieczorem już cieniutkie strugi przelewają się na brzeg z wezbranego koryta.

Przeszła noc i zamajaczył blady świt poranny. Jakże odmienny obraz przedstawia cała nadrzeczna okolica!? Jak daleko okiem zasięgniesz, błyszczą ogromne szyby wody, wszystko zarównał potężny w swych masach żywioł, nie ma tam już pastwisk, tylko drzewa sterczą i widnieją z pośród nich dachy lepianek, a mieszkańcy bądź na dachach ukryci, bądź na łodziach wiosłują po ulicach sioła, wyławiając rozmaitego gatunku przedmioty zachwycone powodzią. Gdzie tylko co nieco wznosi się teren, gdzie jeszcze nie sięgły wody, roi się od spędzonego ze wszech stron dobytku. Nawet obojętne zazwyczaj przeżuwacze okazują jakiś niezwykły niepokój, gorączkowo skubią trawę u brzegów zatopu, inne, dzikie i wystraszone, wydają ryki i ponury jakiś nastrój ogarnia wszystko co chodzi i pełza po ziemi, cała atmosfera zda się rozbrzmiewać strasznemi słowy genezy: „Przywiodę potop wód na ziemię ku wytraceniu wszelkiego ciała, w którem jest duch żywota pod niebem". (VI. 17).

Ze stoickim spokojem znosi to wszystko miejscowy wieśniak. W przewidzeniu powodzi ulokował on w rosochach wierzby skąpy swój użątek, zostało przeto nieco chleba, pasma wiklin i łóz, z których wyplata kosze i najrozmaitsze przyrządy do połowu ryb widnieją zdala na brzegach rzeki, ba i las oczeretów, ten materyał opału, budowli i innych niezliczonych użytków, kołysze się wśród lustra żółtej wody. Przeciekające czółno, to obecnie korab nadziei zatopionego chłopa; z włokiem, wirzchą lub z ością w ręku przepędza on w niem większą część doby, zanim opadające znów wody nie każą zamienić broni i zanim ta istota ludzka, skazana wyłącznie na wodne dary natury, z łowcy rybaka nie stanie się strasznym łowcą błotnego i wodnego ptactwa przy pomocy pojedynczych swych sposobów, stosowanych z całą przebiegłością dziecka natury do specyalnych celów.

Jesienny wylew, nie mogąc już wyrządzić szkody w skrzydlatem państwie natury, zastawia tylko sute stoły na okiem nieobjętych obszarach dla niezliczonej gawiedzi skrzydlatej — dla wszystkich jest tu i miejsce i żeru dosyć, to też miliony rodzimych i o tej porze wędrujących już ptaków znajdują wśród wylewów warunki wygodnego bytu.

Gdzie tylko fala żywa o brzeg uderzy, osadzają się tu myriady żywych organizmów, całe pokłady wodnych ślimaków — i wspaniała otwiera się spiżarnia dla najrozmaitszych konsumentów, mogących jakiś czas prawdziwie po sybarycku spędzić dni wśród takiej masy wytwornych przysmaków, których przy zwyczajnym stanie wód nie tak łatwo oko dostrzega. Mogą się tu więc posilić owe stada długodzióbych i długonogich bekasów, biegusów, brodźców, kulików i t. p. i wyniosą z naszej ziemi miłą pamiątkę w dalekie kraje, dokąd i ich wkrótce zagna konieczność nieubłagana.

Gdzie tylko przycichnie fala, tam znów chmury narybku bujają po bezgranicznym żywiole; niewiele tam z tego dojrzeć można, zato też wygodne otwiera się pole łowów dla tych rybaków w mętnej wodzie, co wnet zaciągną czaty baczne wśród wód, bacząc na każde poruszenie jej powierzchni.

W cichych zatokach, gdzie prądy ustały, podnosi się temperatura wody, a nad nią bujają miliardy muszek i komarów jakby chciały wyzyskać w wesołym pląsie resztki ubiegającego lata, a po przybrzeżnych zaroślach i groblach snuje drapieżny naród pajączków srebrną nić Arachny. Rozproszone gromady jaskółek ponad te spokojne wód źwierciadła przeciągają z piskiem i świergotem, a co tylko zrze-

dnie stado, nowe znów przesuwają się masy, a wszystko tam dybie za życiem. Otwierają się szerokie gardziołka i w tych powabnych dzióbkach przepadają miliony żyjątek, jak gdyby ich nigdy na świecie nie było, a tylko istny deszcz pomiotów spada na wodę, i znaczy na jej gładkiej powierzchni ogromną przemianę materyi i odwieczne prawa jej krążenia. Cicho podtrzymując życie innych, giną tam bez skargi miliardy organizmów. Czy tylko bez skargi? czy bez żalu? Na szczęście nasze niewiele o tem powiedzieć możemy, na szczęście zgłuszyła nas przyroda na te subtelne objawy.

Lot takich gromad jesiennych jaskółek ani podobny do tego, jaki się u pojedynczych tych ptaszków dostrzega, gdy rodzinna troska i sroga o byt walka do gorączkowych zmusza wysiłków. Teraz wszystko, niby w skrzydła ubrany żywioł, posuwa się poważnym lotem wśród nadmiaru żywności, każdy osobnik myśli tylko o sobie, przycicha współzawodnicza gorączka, i cała chmura skrzydlata leci spokojnie póki jeszcze dycha południowy wiatr, póki roją się miliardy owadów nad ciepłemi wody, póki słońce nie weszło w zodyakalny znak Wagi, bo wtenczas te chmury dymówek niespodziewanie wzniosą się w górę, rozpłyną się dla oka i utoną gdzieś w niezbadanych okolicach podzwrotnikowej Afryki, gdzie już przedtem podążyły oknówki i jeżyki.

Niewiele uwagi myśliwego mogą zająć rybitwy, ale braknie czegoś oku zwykłemu, patrzącemu na krajobraz zalany, gdy ich już niema nad wodami o tej porze. W tej chwili pospolite to nasze ptactwo gdzieś na dalekich wodach święci tryumfy skrzydła, bo zazwyczaj już w sierpniu, po skończeniu edukacyi młodego pokolenia, wynosi się zaraz na południe. Toteż śmielej już podskakuje srebrna rybka bez obawy, że ją dostrzeże ten wytrwały latawiec, że spadnie na nią w przedziwnych zwrotach ten wiecznie głodny rabuś, wiecznie chudy żarłok, śledzący swym zamglonym a zimnym jak żelazo wzrokiem powierzchnię wód.

Ile odmian rybitw jest na naszych wodach, tyle też jest arcydzielnych a oryginalnych latawców, umiejących aeronautyczne sztuki, któremi się aż do znużenia produkują. Białe *(Sterna fluviatilis)* przewracają koziołki i w gzyzakowatych liniach spadają na swą ofiarę, rybkę lub większy jakiś owad wodny — inne zawieszają się nieruchome w powietrzu *(Sterna minuta)*, — te znów nurzają się i ze zdobyczą w dzióbie lecą dalej nad wodą, a rybitwa czarna, u nas bardzo pospolita, od czasu do czasu rozwija swe złowrogie dla wodnych owadów szeregi. Jednostajność lotu i rybitwie dokuczy, siada wówczas przy brzegu, albo na wodzie, rozpuściwszy skrzydła, daje kołysać lekkie jak trzaska swe ciałko.

Lecz cóż to za sztywne postacie, niby tyki, stoją całą gromadą na płytkiej wodzie? Nie zabawna w tem towarzystwie musi być chwila. Lecz nie, to tylko nam się tak wydaje, one bawią się jak umią i mogą najlepiej, a szkła moje odróżniają wybornie każdego osobnika. To najzwyklejsze czaple, jest ich tam kilkadziesiąt, młode i stare, panowie i panie. O tej porze niesympatyczna ta chałajstra w gromadach włóczyć się zaczyna dążąc powoli do południowych krajów bez żadnych już trosk i kłopotów, hołdując tylko sprawie obfitego wyżywienia, które tutaj właśnie na płytkiej i zacisznej wodzie, gdzie już namuły osiadły, w najkorzystniejszy sposób odbywać się może. Jedne wpatrują się żółtemi jak siarka oczami w swój ideał, bo w miejscach tych pląsa drobny narybek — inne mają już dosyć, a więc trawią tylko, i machinalnie zwracają jasne oczy i dzióby ku wodzie — reszta, a tych jest najwięcej, ani żerują ani wypatrują, ale w jakimś półsennym stanie, dumają prawdopodobnie o tem samem, o czem duma namiętny palacz opium. Chętniebym im posłał szczyptę ołowiu, ale próżna to chęć, nie pomaga nawet grobla, poza którą skryty chyłkiem podsunąć się pragnę pod ostrożne ptaki — na 200 kroków wszystko zrywa się do lotu i cichem uderzeniem lotów z wyciągniętą na grzbiet szyją a wyprostowanemi w tył nogami podąża w stronę przeciwną, i wznoszą się coraz to wyżej poważnym bo miarowym a wolnym ruchem skrzydeł. Kilka ponurych i nieprzyjemnych wrzasków rozległo się w oddali, widocznie na znak, że znów dobre, przeźrocze i płytkie nadarza się siadło, bo całe stado zniża się ku wodzie i swe złowrogie rozstawia czaty.

Ile razy o tej porze udało mi się ubić czaplę, tyle razy podziwiałem wprost wyobrażaniom ogólnym sprzeczny stan oblania tego ptaka; całe ciało było okryte warstwami tranialstego, płynnego tłuszczu, tak, iż poniekąd wytłumaczony jest apetyt tutejszego chłopa na takie pieczyste, przypominające nieco stare zjełczałe sadło lub nadpsute śledzie należące do gurmanderyi tutejszych wieśniaków.

De gustibus non est disputandum; poczciwy szlachcic autor „Myśliwstwa ptaszego", również nie jest w kłopocie co uczynić z czaplą: „mięso sam zjedz" powiada „bo dobre". Próbowałem, bo mi imponowało swym tłuszczem i pięknym wyglądem, ale niestety „nie szło", pomimo, że mi żal tego było.

Gdy tak i oko i cała uwaga ma dostateczne zajęcie wśród tych niezliczonych objawów niezwykłego życia, nie można przewidzieć, czego się jeszcze spodziewać należy o tej porze, dokąd zaprowadzi myśliwego jakaś ciekawa scenerya, wynurzające się niby *Deus ex machina* gdzieś z jasnego nieba. Wszak to pora wędrówek, wszak to stół zastawiony dla rozmaitych nieproszonych gości, w dzień i w nocy powietrznemi szlaki przelatują całe stada skrzydlatych mieszkańców ziem rozmaitych. Jednych oko dostrzega, inne topią się w błękicie lub w szarej mgle, i tylko głowy wskazują, że tam, na utartym gościńcu, do którego my naprożno wzdychamy, wre ruch i życie. Większość pomyka niewidzialna, niesłyszana, bądź po mroku, bądź w wysokościach, w których nasz wzrok już żadnych wrażeń zbierać nie umie. Często się zdarzy, że jakiś rój skrzydlaty mieszkańców egzotycznych, niby meteor, spadnie z nieba na szerokie lustro wody, pożeruje, nacieszy się życiem towarzyskiem, i znów na dany sygnał wzniesie się w górę, a wtedy jakieś obce wrzaski rozedrą powietrze i znowu cicho — wszystko tonie w tych przestworzach, gdzie nieznaną jest niewolnicza zależność czasu i miejsca.

Czy nieznaną? I w tych bezgranicznych na pozór obszarach fizyczna organizacya stawia i ptakowi pewne zapory: dotąd! a nie dalej! zakreśla mu nieubłaganą granicę, bo tam wyżej, tam ani żyć ani oddychać nie można, tam ciasno i duszno nawet dla ptaszej piersi, a to, co jest naszem marzeniem, naszym niedoścignionym ideałem, może być dla ptaka źródłem tęsknoty i pragnień niedoścignionych.

(Dok. nast.)

ŁOWY PANA MARKA

nie tyle ucieszna ile prawdziwa historya.

Był obywatelem lwowskim, sam, jak to mówią, w sile wieku, miał dobrą, gospodarną i młodą żonę, kilkoro ładnych dziatek, piękną realność, obfitego kawał chleba w ręku. Patrząc na to wszystko zdawałoby się, iż już niczego tam do szczęścia ziemskiego nie brakowało, a gdy pan domu powtarzał często ulubiony aksiomat: „praca uszczęśliwia,“ to już samo podwórze obszerne jego realności, zawalone niezliczoną ilością bezkształtnych głazów, które miały się zmienić na dzieła sztuki pod uderzeniem natchnionej jego ręki, dawało niejakie pojęcie o ogromie szczęścia tego człowieka.

A jednak, jak wszędzie na świecie, tak i tutaj wśród na pozór wszechstronnie sprzyjających warunków, sprawdzało się wypowiedzenie spiewaka Sybili: „Nie masz prawego szczęścia na ziemi dla człeka“. I tutaj, wśród pozornie niczem niezakłóconego szczęścia naszego bohatera wplatała się jakaś czarna wstęga w różowe tło jego żywota. Widocznie sztuczne warunki ziemskiego szczęścia, jakie sobie człowiek stworzyć potrafił, nie wystarczają jeszcze każdemu, i nie wystarczały także p. Markowi, gdyż tak ochrzczono go przed laty czterdziestu kiku. Od czasu do czasu rozpierała go jakaś bliżej niedająca się określić tęsknota, potęgująca się zawsze wyobraźnią. Szerokie upusty fantazyi, jakich dostarczał mu sam jego zawód artystyczny, były jeszcze za ciasne, aby się w nich pomieścić mógł cały gmach jego fantastycznych mrzonek. W wieku, w którym, jak mówi słynny Du Bois Reymond, jedzie się parą, pisze i mówi błyskawicą, a promieniem słonecznym maluje, odczuwa się tem silniejszą tęsknotę do powrotu na łono natury, do utraconego raju przeszłości. Ten cały kram kultury, będący dziełem całych pokoleń ludzkości, zaczyna wreszcie nudzić swego wynalazcę, następuje chwila przesytu, w której chętnie wyrzeka się wygód i wszystkich cywilizacyjnych przyjemności i całą siłą dąży do tego, aby spocząć nieco na łonie niczem nie zakłóconej przyrody i odświeżyć się tem ożywczem słowem, jakie rozbrzmiewa w każdym kącie owej wspaniałej świątyni.

Stosownie do temperamentu, dążenia te w rozmaite objawiają się sposób. U naszego bohatera, w którym tętniło dzielne bicie serca tradycyjnych przodków, wynurzały się fantomy dawnych bohaterów, pokonywających trapiące ludzkość potwory, śnił wśród kieratu codziennej pracy o jakichś walkach dzikich z zwierzem wśród dziewiczej przyrody, zostawał zwycięzcą, a niewidzialne chóry niebiański przygrywały mu pean tryumfu.

Sen mara — nie tak łatwo było wśród zgiełku stolicy urzeczywistnić marzenia.. W takich razach udatny, jak się wyraża lwowska polszczyzna, „treffer“ na Strzelnicy musiał chwilowo zaspokoić pragnienia, a fantastyczne widzenia utrwalał ołówek na kartonie, których p. Marek posiadał już mnóstwo w swej tece. Mówię „chwilowo,“ bo wnet odzywała się żądza zaspokojenia nieco realniejszego, a w wieku, w którym już niema minotaurów, nemejskich lwów i t. p. potworów, było szczytem życzeń pana Marka ubicie jakiegoś kolosalnego odyńca erymanthejskich rozmiarów na gruncie galicyjskim.

— O mięso nie dbam — mawiał wtedy -- ale łeb i skóra moje.

Łeb dzika wypchany, kolosalne szable, skóra przed łóżkiem — to były ideały, do których tęsknił pan Marek. Wszystko ty zdobyte własnemi rękami mogło uszczęśliwić tego wreszcie już i tak dość szczęśliwego człowieka, któremu nie wystarczała zawodowa praca, domowe szczęście i stosunki towarzyskie.

— Praca codzienna, po co? — zapytywał sam siebie, — chyba, aby umrzeć bogatym — stosunki, towarzystwa i t. p., chyba aby się rozczarować kiedyś...

Mimo to jednak pracował w swym zawodzie pilnie, a parę godzin dziennie poświęcał życiu towarzyskiemu. Z przedmiejskiej swej siedziby wymykał się wieczorkiem do miasta i tonął na kilka godzin w rynku, w pewnej świątyni pilznieńskiego Gambryna, gdzie regularnie zbierało się przy długim stole kółko dobrych znajomych, składając nieraz w późną noc ofiary obfite na cześć bajecznego władcy Flamandów.

Otwarty charakter pana Marka nie dozwalał utajania na długo swych marzeń, to też znało je całe kółko towarzyszy i współobywateli, i rozmowa niemal zawsze schodziła na Nemrodowe pola, a gdy jeszcze od czasu do czasu zjawił się w tem towarzystwie ogorzały, a tylko dorywczy amator pilznera „z prowincyi“, długoletni „kundman“ pana Marka — to i do rana przeciągały się żywe rozhowory treści łowieckiej, a w końcu następywały takie serdeczne wywnętrzania, iż pomimo, że gość „z prowincyi,“ mając ku temu znakomitą sposobność, rozpowiadał już nie „łaciną,“ ale greczyzną myśliwską swe nadzwyczajne przygody, a p. Marek roztaczał swe ideały w sposób wcale dla reszty towarzystwa niezrozumiały — mimo to podniecone serca stawały się o tyle mostem porozumienia, iż pewien przybyły z daleka jegomość, uznając w panu Marku bardzo sympatycznego człowieka, postanowił dopomódz mu w jego zamiarach, co mu zresztą nie przychodziło z wielką trudnością jako właścicielowi renomowanej dziczej kniei.

Minęły dni zaduszne, ukośne promienie listopadowego słońca oświeciły mogiły, potem grube powłoki zaciągnęły niebiosa, a szara dotychczas ziemia, niewinną przybrała sukienkę.

— Gdy pierwszy śnieg spadnie, dam panu znać, dziki będą otropione!

Słowa te, wyrzeczone jeszcze w porze letniej przez przybyłego z daleka obywatela przy pożegnaniu się z panem Markiem podczas kordyalnego zebrania w piwiarni na rynku, stały się ciałem. Pan Marek został na polowanie zaproszony i w kilku godzinach wyekwipował się do podróży, a gdy wracałem ze Lwowa do domu, zdybaliśmy się w poczekalni na dworcu Karola Ludwika. Tu odnowioną została dawna znajomość nasza i wnet odbywaliśmy wspólnie jazdę koleją, swobodnie i przestronnie, bo było nas tylko dwóch i dwa kuferki w przedziale, w którym według istniejącej normy 10 osób i 16—20 pakunków zmieścić się musi.

Gdyby nie otwarte serce pana Marka, byłbym się nie domyślił celu jego podróży, gdyż powierzchowność jego w niczem nie zdradzała myśliwego. Miał na sobie miastowe futerko z bobrowym kołnierzem, z pod którego wisiały frędzle jakiegoś żółto-niebieskiego szala kobiecego, frędzle nieskoń-

czenie długie, wysokie juchtowe buty, wykrojone *à la* Napoleon I, a na głowie czarną batorówkę. Przyzwyczajony do widoku skórzanych pokrowców na strzelby, w których się namacalnie zawartość uwidacznia, nie mogłem się jakoś domyślić, iż w czworobocznem pudle, które obok siebie na siedzeniu p. Marek położył, znajduje się morderczy instrument, przy pomocy którego miał on uwolnić pewną okolicę w Stryjskiem od gruboskórego niszczyciela kartofli, owsa, i tym podobnych darów bożych, który obecnie otropiony przepędzał krótkie dni w miękkiem łożu mrowiska, nie przeczuwając wcale nadciągającej burzy.

Jeszcze p. Marek nie dokończył szeregu pochwał swej w pudle ukrytej rusznicy, która miała, jak się wyrażał, „chodzić“ znakomicie, gdy rozległ się świst lokomotywy i ukazały się brudne zaułki miasteczka S. Przyszła chwila pożegnania p. Marka, zbliżałem się już bowiem do kresowej stacyi kolejowej, skąd jeszcze 2 mile t. z. „polskiej drogi“ i kilkanaście t. z. „mostków“ czekało na me niewinne życie, zanim mogłem mieć nadzieję oglądnąć domowe progi. Pochwyciłem jeden z kuferków, a w trakcie tego pan Marek, szarpiąc mnie gorączkowo za guziki i połę, dopowiadał mi z werwą rezultaty strzałów ze swej strzelby na lwowskiej strzelnicy. Cały ten kiedyindziej ciekawy wykład praw balistyki był dla mnie w tej chwili stracony, gdyż dążeniem mojem było wydostać się czemprędzej z wagonu, co mi się też szczęśliwie w ostatniej chwili udało, bo ledwie dotknąłem nogą ziemi i połapać się nie zdołałem jeszcze, że kuferek mój znacznie przybrał na wadze, już pociąg ruszał, a pan Marek wyzierając przez okno jakieś wcale mi nie zrozumiałe czynił gesta. Turkot wozów ogłuszał, dymy wszystko zakryły, i w tej właśnie chwili czysty przypadek niepostrzeżenie zacieśnił węzeł pomiędzy mną i p. Markiem i szeroko otwierały się wrota owych myśliwskich przygód, które tu roztaczam przed okiem czytelnika.

Przy pomocy jakiegoś wagabundującego żydziaka, dźwigającego mój pakunek, dostałem się wreszcie do mego wózka i koni, czekających z dala na gościńcu, bo podręczny siwosz nie mógł znosić widoku pociągu co najmniej w oddaleniu dwóch kilometrów i szparko, bo do domu, odbywałem polską drogą jazdę do Pustowli, bo tak się zwała moja siedziba.

Nie będąc lingwistą, nie będę się zastanawiał, dlaczego szlak, po którym jechałem, zwie się podobnie jak wiele innych tego rodzaju środków utrudniających komunikacyę „drogą polską,“ myślałem o tem często i wiele, w końcu przyszedłem do przekonania, iż powód nazwy jest jasny — polską musi być droga, po której Polak i koń polski bez szwanku przejechać zdoła.

Zajechawszy tedy bez szwanku, zdrów i głodny, a więc w niedobrym humorze, przed próg domowy, po krótkiem przywitaniu ze swoimi zasiadłem do spóźnionego nieco objadu. Tymczasem w drugim pokoju odbywało się już wypróżnianie mego kuferka, i od czasu do czasu dolatywały mnie głosy zdziwienia, brzęczało szkło, rozsypywały się śróty lub kule po podłodze. To wszystko w innej chwili mogłoby zaciekawić i popchnąć mnie do natychmiastowego zbadania co się tam dzieje, jednak byłem tak zajęty dopełnieniem realnych warunków dobrego humoru i zadowolenia z siebie, iż nie zwracałem wielkiej uwagi na owe dźwięki, które w każdym razie nie mogły pochodzić z mego kuferka, gdzie ani szkła ani amunicyi nie było.

Powoli wróciłem do duchowo fizycznej równowagi, i gdy zapalałem fajkę na długim cybuchu po skończonym obiedzie, toczyła się coraz to żywsza rozmowa z towarzyszącą mi przy stole rodziną, a wreszcie korciło zajrzeć do drugiego pokoju, skąd przed chwilą dochodziły mnie wspomniane odgłosy.

Żałuję, że nie mogłem sam siebie odfotografować, gdym stanął we drzwiach i na całym wielkim stole ujrzał rozłożoną zawartość niby to mojego kuferka, który wypróżniony leżał pod stołem. Naturalnie fajka od razu zgasła, a zdumiony wzrok skakał dobrą chwilę po przedmiotach, bądź zupełnie mi obcego wyglądu, bądź bardzo rzadkich zjawisk w ziemiańskiej chałupie. Aż strach, ile ja tam wszystkiego ponawoził! Istny bufet i arsenał łączyły się tu w pstrokatym obrazie: flaszka ratafii, starka, wino czerwone i białe, wszystko z prześlicznemi etykietami, pudełko blaszane z konserwą, z sardynkami, sklepowe zawiniątka, same artykuły gormanderyi śniadankowej, a pośród tego całe stosy ładunków lefaucheux, Nr. 16 i 24, pierwsze śrótem rozmaitego kalibru, drugie kulami nabite, osobno znów kule explodujące, kulki łupane, lotki na łańcuszkach, przybitki najrozmaitszych kształtów, kawał stearyny, jakichś narzędzi do wyciągania, do rekonstrukcyi, do sporządzania ładunków i t. p. i t. p. Patrząc na to wszystko, dopiero zrozumiałem rzeczywisty powód owej mimiki p. Marka, gdy dojrzał już zapóźno swój kuferek w moim ręku po za wagonem kolejowym. Ha! rzeczywiście, było za czem żałować, był powód do rozpaczliwej mimiki, pojechał na otropionego odyńca ze strzelbą niby z patykiem, a kuferek mój fatalnie do jego podobny, zawierający pewne części ubrania, a których niewiem dla czego mówi się niechętnie, laną wielką panewkę do sieczkarni i paczkę wygranych na tomboli pierników, nie mógł mu do zabicia dzika dopomódz.

Gdy na drugi dzień rano posłaniec mój odwoził kufer p. Marka do stacyi kolejowej w S., spacerował jakiś jegomość w miejskim futerku w czarnej batorówce i z czworobocznem pudłem pod pachą i kufrem podróżnym w ręku po rynku miasteczka, a dokoło niego, niby zjadliwe bąki, uwijała się czereda odbartych żydziaków, ofiarując mu jako obcemu widocznie, swe tanie i rozmaitego gatunku usługi.

Był to piątek, dzień odpoczynku i kontemplacyi po wczorajszym jarmarku, czy targu, który dzięki monarszej łasce króla Michała Korybuta, odbywał się od przeszło lat 200 zawsze w czwartek. Wczorajszy zatem jarmark był z rzędu mniej więc 11000-ny od chwili błogiego przywileju. Rynek, ta główna scena transakcyj czwartkowych od lat 200, to niby szałas ogrodzony szeregiem niesymetrycznych domków i kamienic, a jednoczących się w stylu żydowsko-galicyjskim, niby panorama brudu azyatyckiego, odbijającego tem jaskrawiej na tle dzikiej a pretensyonalnej, semickiej polichromii murów, okien, drzwi i przeróżnych szyldów. I któż wyliczy? kto potrafi wymienić tych wszystkich Iwanów, Hryciów, Prociów, Safatów i t. d., owych Srulów, Mechlów, Pinkasów, Lejsorów i t. d., którzy tu od wieków z dziada pradziada, w nierównych zapasach ekonomicznych byli na tej arenie aktorami czwartkowych popisów? Teraz w przeddzień szabasu pustą stosunkowo była ta scena, a tylko kupy najrozmaitszego śmiecia były namacalnym dowodem tego, co się tu wczoraj działo. Wszystko to mogłoby z czasem utworzyć jeżeli nie geologiczne pokłady, to przynajmniej warstwy kulturne na wzór owych duńskich *Kjökkenmöddings* krzemiennej epoki, — ale cóż, kiedy bruździł tu pierwiastek słowiański, nie dając utworzyć się porządnie tym skarbnicom dla antropologów przyszłości. Pierwiastek ten, wyparowany za miasto, chciał także korzystać pośrednio z dobrodziejstwa królewskich przywilejów i utrzymywał mnóstwo stróżów czystości, którzy i w tej chwili, przebiegając w rozmaitych kierunkach opustoszały rynek, pracowali ryjami

z korzyścią dla siebie, a ze szkodą dla antropologa przyszłości około przyspieszenia krążenia materyi.

Wszystko to w niczem nie nadwerężało olympijskiego spokoju przechadzających się z wolna postaci w długich chałatach, inne podobne figury wynurzały się tu i owdzie z sieni i innych zaułków, a gdyby nie siedząca na progu szynkowym mamka rozczochrana, lub z niesmakiem na cały świat spoglądający z wczorajszego jeszcze targu pozostały chłopek, który widocznie do domu trafić nie mógł i mimowoli nocować musiał — sądzić by można, iż w kraju tym zupełnie zaginęło plemie słowiańskie. Ale przepraszam! Wśród niewolników równoplemiennych reprezentował panów tego kraju w tej chwili wspomniany już jegomość, w którym się czytelnik niezawodnie mego towarzysza wczorajszej podróży domyślił. Po nieprzespanej nocy, przyjechawszy o godzinie 8-mej rano, wyrzucony został literalnie na błoto przy budce kolejowej zowiącej się na biletach „S. miasto.“ Po dość długich przymusowych oględzinach osobliwości miasta w towarzystwie wspomnianem, nadjechał wreszcie bałaguła jednym jakimś sędziwym i nieszczęśliwym koniem, na mały wózek wgramolił się p. Marek i po załatwieniu jeszcze jakichś dodatkowych ugód, odbywała się jazda w kierunku Pustowli.

Właśnie wybierałem się z domu; proste sanie czekały na mnie przed gankiem, a z pod derki wyglądały dwa podwórzowe kundysy, ułożone na swojskich świnkach do cięższych nieco zapasów z dzikimi ich pobratymcami, gdy p. Marek zajechał na podwórze. Niespodziewany gość odwlec musiał nieco moją wyprawę, a przyznam się, iż pomimo sympatyi jaką żywiłem dla p. Marka, pomimo, iż z gościem i Bóg w dom wchodził, nie na rękę była mi w tej chwili wizyta. I widocznie jeden duch ożywiał całe towarzystwo, wybierające się zemną do lasu, bo gdy kazałem odjechać z pod ganku, to Mikołaj zaciął konie złośliwie, a kundysy jakimś rzewnym odezwały się skowytem.

— Wybaczy pan dobrodziej, iż może nie w porę przybywam — odezwał się p. Marek po krótkiem przywitaniu ale przywożę panu pańską własność, a prosić będę o moją. Ta fatalna pomyłka zwichnęła cały cel mej wczorajszej podróży, wystaw sobie Pan...

Chciał jeszcze dalej mówić, ale przerwałem mu zniecierpliwiony, bo skomlenie psów, coraz głośniejsze, dawało się słyszeć z pod stajni.

— Odesłałem pod pańską adresą kuferek i zastaniesz go pan już we Lwowie.

— Jakto? Pan już go odesłałeś? A to gorżki los! Więc znów cała moja amunicya minęła się z moją bronią. Strzelba jest, pan też się widocznie do lasu wybierasz, a strzelać nie mam czem. — I prawie łzy mu w oczach stawały, gdy kończył: — Jaka to rozpacz z temi kalibrami! Ja do N. na pewnego odyńca, naboje do Pustowli, ja do Pustowli, a naboje już we Lwowie. Panie dobrodzieju! ja widocznie do tego powołania nie mam, trzeba jak widzę wszystko to raz na zawsze zawiesić na kołku; a jeszcze w dodatku to moje szelmowskie szczęście! Co tylko jest w miocie, to wszystko wyłazi na mnie.

Wprawdzie strzelba p. Marka spoczywała jeszcze w pudełku, jednak kaliber jej był mi już znany, prawdopodobnie był to 16 kaliber gładkiej lufy połączony z 24 kalibrem sztućcowym; na jedną więc rurkę miałem radę, bo ulubiona moja strzelba była lefuszówką Nr. 16 o gładkich lufach.

— Żałuję pana mocno — odrzekłem — ale zawody w życiu myśliwskiem nie powinny odstraszać. Jeżeli panu nie nie przeszkadza, to może pan zostanie dziś u mnie, przekąsimy nieco, bo na objad czasu niema, a potem wybierzemy się po nowe zawody, gdyż właśnie wybierałem się do tej knieі — i tu wskazałem przez okno na niedaleki szmat lasu.

Podczas mojej przemowy coraz bardziej ożywiała się twarz p. Marka, a wreszcie dziwnym blaskiem zaiskrzyły się mu oczy, gdy całą kupę gotowych nabojów Nr. 16 położyłem przed nim na stole.

— Masz pan tu gotowe naboje, a niech się panu zdaje, że się nosisz z pojedynką.

W jednej chwili poskoczył do pudła, wyciągnął swą strzelbę, która w zupełności odpowiadała mojemy wyobrażeniu, złożył ją i zaraz jął próbować otrzymane naboje.

— Włażą wyśmienicie, a to szczególniejsze szczęście! Przykładał strzelbę do oka, wychwalał, i zamiast jeść za moim przykładem, jął mi opowiadać jakąś długą, a nudną historyę o trafności swej strzelby na strzelnicy.

Po niedługiej chwili byliśmy już na sankach w drodze do kniei.

— No i cóż? polowaliście na tego otropionego odyńca? — zapytałem.

— Ta cóż z tego, że polowali! Wystaw sobie pan, gdym nie chciał przyjąć ofiary ze strony gospodarza, który mi dawał swą strzelbę, dali mi jakiś szturmak, dyabli wiedzą czem nabity i dalej jazda do lasu. Trzeba mieć szelmoskie szczęście, bo odyniec ruszony wprost na mnie może na jakie 25 kroków wychodzi i staje... Wymierzyłem w sam łeb, i jak wygarnę, to się aż dąb zatrząsł za dzikiem. I niedziw, cały nabój siekańca ugrzązł w korze ze dwa łokcie ponad dzikiem, który szczezł jak kamfora. Stoję w lesie skompromitowany, aż tu wyłazi z krzaków gajowy, właściciel owego nieszczęsnego szturmaka, śledzi trop, podchodzi do postrzelonego dęba i z uwagą ogląda wszystko. Po trzyrazowem może obejściu dęba, nie widząc, że stoję w pobliżu, machnął ręką i jakby sam do siebie powiada: „Piszoł! z teji rusznici inaksze ne zabije, treba miryty dwa łikti w spid“, bo horuje czerez to, szczo lufa krywa“. „A czemużeś mi o tem przedtem nie powiedział?“ huknąłem, aż się chłop wystraszył, zdjął czapkę i rzecze: „Taż ja kazaw, ale pan znać ne doczuły, a z neji inaksze ne zabije treby dokończe dwa łikti w spid braty, oj ne zabije, kto teji mankolii ne znaje“.

I opowiadał jeszcze dalej p. Marek w barwnych obrazach historyę swych przygód myśliwskich, jednak nie byłbym już wstanie powtórzyć wszystkiego, bo uwaga moja była czem innem zajętą. Zbliżaliśmy się do lasu. Moc tropów rozmaitych wypisał zwierz na płytkim śnieżku zaciszy podleśnej. — Widząc, że nie zwracam uwagi na jego opowiadanie, urwał je p. Marek. Wjechaliśmy na linię lasową. Tylko od czasu do czasu powtarzał półgłosem w rozmaitych zwrotach: „Ej żeby to złupić porządnego odyńca, o mięso niedbam, ale łeb i skóra moje“. Pomimo, że prawie bezustanku zalecałem mu rozmaitą mimiką milczenie, nie mógł wytrzymać, zdawało się mu, że milczy, a tymczasem ciągle coś pod nosem mruczał, z czego ja tylko piąte przez dziesiąte zdołałem połapać.

Skręciliśmy wreszcie na wązką i krętą dróżkę leśną, a jazda odbywała się zupełnie wolno, nie chciałem bowiem przeoczyć niczego w tej matni krzyżujących się tropów. Był to oddawna mi znany ulubiony miot dzików, mieścił w sobie wszystko, czego dusza tego sybaryty naszych lasów zapragnąć może. Stare, niegdyś jako nasienniki pozostawione dęby, potrząsały prawie co roku żołędzią, które padając pomiędzy gęste podszycie, leszczyny mijała się z swem właściwem przeznaczeniem, przysparzając tylko zasobów żeru, jakie wśród gąszczy tej nagromadzał skrzętny naród myszy wytokowej. Niemal połowę miotu tego zasadzono przed laty świerczyną,

nie mogąc się doczekać odnowienia dąbrowy sposobem naturalnym. Łożysko jakiegoś starego potoku, przerzynające miot cały, gęste jego zarośla przybrzeżne, nieco wody, multum błota dopełniało szeregu wygódek, jakie tu na miejscu znajdował gruboskórca. To też chętnie tu przebywał.

Byłem pewny, że i w tej chwili niedaleko od nas wśród gąszczy świerków wygrzewa się ów czarny rycerz w miękkim kopcu mrowiska, wszędzie bowiem dostrzedz było można ślady jego niedawnej tutaj gospodarki. Całe połacie przybrzeżnych zarośli pobuchtował, znajdując tu ulubione przysmaki. Zeschły liść z ziemią i śniegiem przemieszany, pstrokaty i niespokojny przedstawiał widok, a gdym wskazał ręką na błotem obsmarowany pień świerka, przy którym widocznie któryś z elegantów robił toaletę, to nie zadziwiło mnie bynajmniej, iż pan Marek, wpatrzywszy się z zmarszczonemi brwiami w głąb kniei, wkładał już nabój do strzelby.

Właśnie mijaliśmy w poprzek linii ciągnącą się ścieżkę zajęczą, gdy na ścieżce tej uderzyły mnie z całą plastycznością wyciśnięte racice potężnego dzika, a nieco mchu, wydartego końcem racic ze spodu pod krokiem ciężkiego zwierza, odbijało tem lepiej na białej powłoce. Dwoje rąk trzeba było teraz w ruch wprowadzić; jedną dotknąłem ciężko okutanego chłopa, drugą pociągnąłem p. Marka, spoglądającego nieprzerwanie w las w nadziei, że przedmiot jego marzeń gdzieś tuż za jakimś krzakiem siedzi.

Zatrzymał chłop konie. Zlazłszy ze sani pokazałem p. Markowi tropy, tropy jeszcze ciepłe wielkiego dzika, bo nawet z gałęzi spadający śnieżek nie miał czasu ich przyprószyć. Pan Marek mało zważał na to wszystko, odkrycia moje czyniły go szczęśliwym człowiekiem, już zapomniał o swem niedawnem nieszczęściu, i był już gotów do strzału, wpatrując się uporczywie w kierunku znikającego w gęstwinach tropu, dokąd ręką wskazywałem.

Jeszcze staliśmy na miejscu, gdy dał się słyszeć przed nami szelest stąpania konia i za chwilę z zakrętu dróżki ukazał się stary Hawryło, leśny, na sankach jednokonnych. Objeżdżał on miot ten z drugiej strony, a ujrzawszy mnie, zatrzymał konia i zbliżał się milcząc.

Cisza była w lesie, tylko gdzieś daleko wśród gąszczy niedyskretna odzywała się sojka, tylko szemrał coś lekki oddech powietrza w ciemnożółtych liściach dębczaków nad naszymi głowy, tylko serca biły gwałtownie. Milcząc wskazałem staremu trop dzika. Zbliżył się do niego, machnął ręką i szepnął:

— Je! łeżyt znać w tretym kipcy koło wywoza.

Było to określenie tak dokładne, jak gdyby ktoś podał p. Markowi adres ulicy, numer domu, piątro i drzwi mieszkańca miasta. Zgadzałem się z Hawryłą, lecz stałem jeszcze chwilę, układając dalsze plany. Tymczasem w lesie ciągle odzywała się gdzieś sojka tam od trzeciego kopca koło wąwozu, a głosy te wydały mi się teraz niby szydercze jakieś nawoływania, niby Boruta przez gardło pięknego ptaka drwił sobie złośliwie. Spoglądałem z boku na p. Marka i żal mi go było, że szczęścia niema, i żal mi było, żem go tu przywiózł, a sojka ciągle drwiła, i ja, wychowaniec trzeźwych poglądów, mimo woli byłem teraz przesądnym... Ha, może to przywilej myśliwych nawet w naszych czasach...

— Panie Marku — odezwałem się wreszcie po cichu — zostań pan tu, pod tym dębczakiem; dzik na pewniaka wyjdzie na pana wracając własnym tropem.

Ulokowawszy pana Marka, zabierałem się z Hawryłem do dalszej jazdy.

Pan Marek stanął pod dębem i jął obłamywać gałązki rosnącej obok leszczyny zapewne dla lepszego widoku. Już ruszaliśmy z miejsca, gdy wyciągnął chustkę i robił dość głośne porządki z nosem. Kiwałem na niego, ale to nic nie pomogło, nie widział nic. Na zakręcie, gdy się oglądnąłem, zamigotały mi długie frędzle niebiesko-żółtego szalu, a w chwili gdym stracił z oczu stanowisko p. Marka, padł strzał. Nad dębczakiem, pod którym stał p. Marek, unosił się wysoko lekki dymek. Oczywiście wystrzelił do góry, ale do czego? Niezawodnie wygarnął kulą do jakiegoś ptaszka na drzewie. Hawryło był także tego samego zdania.

Jakiego gatunku pasya porwała mnie teraz, tego opisać nie potrafię; niech łaskawy czytelnik sam sobie to w duszy dospiewa. Jak rybak, który widzi, że wielka ryba z jego niewoda niedostrzeżoną wymyka się przerwą, straciłem na chwilę przytomność i wszelką nadzieję. Co tu robić? Dzik już pewno ruszył, lecz w stronę strzału nie pójdzie. Pędziliśmy zatem co koń wyskoczy na odwrotną stronę miotu, gdzie zdawna przesmyki dzików zapamiętałem.

Na szczęście zwierz dotąd jeszcze nie wyszedł. Poleciłem Hawryle, aby stanął na dawnych przesmykach i wystrzelił na wiatr, gdyby się psy odezwały, sam zaś z psami na smyczy szedłem w kierunku prawdopobnego legowiska. Sojka, zakrzyczawszy kilka razy donośnie, zamilkła. Podejść dzika gdyby jeszcze nie wstał, było rzeczą niepodobną; najostrożniejszy krok sprawiał dostateczny szelest, a legowisko było skryte gąszczą. Puściłem zatem psy ze smyczy, a sam postępowałem ciągle w kierunku domniemanej leży, przesuwając się z odciągniętemi kurkami przez gęstwinę krzaków i świerczyny. Psy utonęły również gdzieś w gąszczy i wcale się nie odzywały. Jeszcze było kawał drogi do legowiska, kiego wśród zarośli dostrzegłem całkiem świeży trop, trop czarnego rycerza, który po drodze jeszcze otrzepywał się z igliwa, przyczepionego podczas spoczynku w kopcu mrówczym. Widocznie ruszył on po strzale p. Marka. Czy był jeszcze w tej chwili w miocie? Gdzie się uniósł? Któż to mógł wiedzieć. Trop gubił się w zarośli wydołka, którędy chyba tylko dzik jest przejść w stanie, którędy tylko pies zmyślny potrafi śledzić jego obroty.

Długą wydała mi się chwila niepewności, chwila nieznośnej ciszy — aż wreszcie jeden pies przygłuszonym a urwanym odezwał się skowytem, oczywiście wpadł na trop świeży, czego jednak stary Hawryło słyszeć nie mógł. I znowu nastąpiła chwila ciszy, a tajemnicza gęstwa kryła wszystko. Wreszcie niedaleko odemnie odezwał się głośnym w wolnych tempach powtarzającym się szczekaniem Wilczek, weteran dziczy, z zaszytym brzuchem, z bliznami na ciele, i w tej chwili wystrzelił stary Hawryło ze swej jednorurki. Wiedziałem dobrze co ten głos psa oznacza, miał on już dzika na oku, jednak nauczony doświadczeniem w respektownej trzymał się od niego oddali.

Z gorączkowym pospiechem podsuwałem się w kierunku, zkąd jeszcze zawsze szczekanie dolatywało, ale było to niemałe zadanie. Każdy krok naprzód trzeba było okupić nadzwyczajnym wysiłkiem. Byłem już na strzał, jak mi się zdawało, od Wilczka i od dzika, a nie widziałem niczego, bo wszystko kryło się pod zasłoną młodej świerczyny lub pod liściami aż od spodu okrytych odroślowych dębczaków. I gdy jak wąż przeciskając się z palcem na cynglu wyglądałem możliwości strzału, odezwał się i drugi pies, krewki Burek, pies silny i szalonej odwagi. Wpadł widocznie całym impetem na zwierza. Dzik zapewne pomknął, bo ciężki tentent i łomot gałęzi niby przybliżał się ku mnie, i cała ta szatańska kawalkada przemknęła gdzieś niedaleko mnie, gubiąc się

w kierunku stanowiska p. Marka, skąd mnie coraz to dalsze naszczekiwania psów dolatywały.

Gdy się dostałem na trop pogoni, już znowu było cicho w kniei. Szedłem teraz tropem kawalkady, który mnie wyprowadził o jakie 25 kroków od stanowiska p. Marka. Spacerował on już po dróżce, a żółto-niebieski szal z długiemi frendzlami leżał pod dębem. Dzik oczywiście poszedł bez strzału, psy się uniosły, a jednak w braku wszelkich praktycznych sukcesów wychodziłem z miotu jak tryumfator, jak wódz, któremu się plan kampanii udał w zupełności. Ani mi przeszło przez głowę, że kroki zwierza mógł kierować ślepy przypadek, że dobre bóstwa kniei, którym tyle w życiu paliłem ofiar, dopomogły do dzieła zapowiedzianego.

Widziałem, że wszelkie z mej strony słowo pierwsze byłoby tylko znęcaniem się nad już i tak dostatecznie nieszczęśliwym p. Markiem, dlatego milcząc zbliżałem się do niego.

— A to panie psie szczęście! — wołał już zdala — mało mnie szlak nie trafił.

A był zupełnie zmieniony: blady, pożółkły, wszystka krew gdzieś ku sercu uciekła, można się było w tej chwili wystraszyć tego człowieka. Tak muszą wyglądać nieszczęśliwe ofiary udaru sercowego w ostatniej chwili swej egzystencyi.

— Ej, panie, pierwsze koty za płoty! — pocieszałem p. Marka. — Że dzik poszedł, to głupstwo, drugi raz już nie ujdzie, ale cóż do dyabła tu się porobiło?

— Nieszczęście panie i kwita, niema co i gadać....

Wyrzekł to wzruszonym i nerwowym głosem, wyciągnął tytonierkę, skręcił papierosa z trudnością trzesącemi rękami, i spaliwszy z pół paczki zapałek „utan swafel och fosfor,“ przyczem się coraz to w inną stronę świata obracał, okrył się niebieskiemi kłębami dymu. „*Exempla trahunt*“ — to też i ja wyciągnąłem moją fajeczkę i zakurzywszy ją w moment prawdziwym siarnikiem, czekałem póki czas i zbawienny wpływ tytoniu nie doprowadzi p. Marka od równowagi. Wreszcie, skracając sobie czas, potrębywałem na psy. Dzikie a wspaniałe w kniei tony rogu przyspieszyły i w panu Marku pożądaną reakcyę. Fale krwi zabarwiły mu lica i rzekł spokojnym już głosem:

- Widoczne nieszczęście prześladuje człowieka! Naprzód zamotały mi się frędzle tego przeklętego szala gdzieś pomiędzy cyngle i kurki, i strzelba na szyi przewieszona wypaliła w górę. Myślałem, że już dyabli całe polowanie wzięli. Zirytowany do żywego czekałem tu, gdzie mi pan stać kazałeś nabiwszy powtórnie tę jedną lufę. Czekam i czekam, wreszcie słyszę psie głosy, przybliżają się, słyszę już i łomot w krzakach i ot tu wypada ogromny dzik, sadzi jak lokomotywa a za nim jak szatani pędzą kundysy. Zmierzyłem w samo serce — cisnę za cyngiel — nic z tego — cisnę aż palec trzeszczy, i cisnąc prowadzę dzika na muszce aż tu do tego krzaka, gdzie mi z oczu raz na zawsze znika. Panie! taż ja cisnałem ten prawy cyngiel od lufy sztućcowej, która ani nabitą nie była, ani kurek nie był odciągnięty.

To co było nieszczęściem wobec dzika, stało się teraz dla mnie szczęściem, bo pan Marek wśród tego opowiadania, dramatycznie rzecz przedstawiając, cisnął również za cyngiel, a kilka razy zwracał rurę czarnym wylotem ku mnie, tak, iż pod tym łaskotliwym wrażeniem to na prawo to na lewo rejterowałem.

Na głos mego rogu wkrótce zebrała się cała drużyna i psy z pospuszczonemi ogonami i wywalonym językiem wnet znalazły się na dróżce przy nas. Krótki dzień listopadowy chylił się ku zachodowi, szare majaki zalegały już dalsze partye kniei, z rzadka padały większe płatki śniegu.

— Psy już wróciły — odezwałem się wsiadając na sanie — zapewne go daleko nie zagnały; jutro a może jeszcze dziś wróci do miotu.

Były to ostatnie na dziś dźwięki mowy ludzkiej w tem leśnem ustroniu, a słuchał ich z namaszczeniem pan Marek, jak gdybym wygłosił je z delfickiego trojnogu. Za chwilę zniecierpliwione stójką i zmarznięte konie przyspieszonym truchtem pomykały do domu. Spokojnie padające w lesie płatki śniegu biły w twarz dotkliwie, gnane zachodnim wiatrem, gdyśmy na czyste wyjechali pole. Rozmowa była niemożliwą, to też w milczeniu przebyliśmy krótką do domu drogę, a odpoczynek ten, zdaje się koniecznie potrzebny do przetrawienia ostatecznego wrażeń dnia tego, podziałał najkorzystniej na p. Marka, bo gdyśmy się znaleźli już w ciepłej chałupie, przy nakrytym stole, był on już w zupełnie normalnym stanie, pełen nadziei, i widział tylko komiczną stronę swej przygody. O ile prawdziwą była moja wyrocznia, tego już zbadać nie można było w dniu następnym, gdyż przez całą noc szalał wicher ze śniegiem i deszczem, a widząc rano, że nie jest to wcale dzien do łowów, z przykrością i tylko na jego silne nalegania odesłałem p. Marka do kolei. Siedząc już na saniach wołał p. Marek przy pożegnaniu:

— Na przyszły raz wybiorę się już całkiem inaczej, dzika wygolę święcie, o mięso nie dbam, ale łeb i skóra moje

(Dok. nast.)

WYSTAWA PSÓW.

Wierny towarzysz człowieka, idąc za nim w różne kraje, w różne podniebia, używany wreszcie przez niego do rozmaitych posług — wydał pod wpływem zmienianych klimatów i pracy mu wyznaczonej tysiączne odmiany. Zbadać te odmiany i określić je, było już oddawna zadaniem zoologów i specyalnych kynologów — ale podjęcie starań, ażeby przez staranne krzyżowania otrzymywać nie przypadkowo, lecz z góry przewidziane pewne rasy, nadające się najbardziej do pewnych celów, dla których człowiek psa chowa — to rzecz ostatnich lat dziesiątek. Po sztucznem krzyżowaniu bydła rogatego, koni, owiec, trzody chlewnej, drobiu i t. p., które w gospodarstwie do tak znakomitych doprowadziło wyników, przyszła kolej na psy. A jak w całej sferze sztucznego krzyżowania największe zasługi położyła systematyczna, pedantyczna i wytrwała Anglia, tak jej także należy się zasługa pierwszego zajęcia się psami i wytwarzania czy-

stych ras psich z materyałów najtroskliwiej dla tego celu dobieranych. Za Anglią poszła Francya, a w ostatnich latach nadzwyczaj wiele uczyniły w tym względzie Niemcy.

Mamy więc po dziśdzień za granicą liczne psiarnie rasowe gdzie prowadzone są jak najdokładniejsze księgi rodowodowe. psów, mamy liczne towarzystwa kynologiczne, które forytują wzorową hodowlę psów, mamy wreszcie co roku wystawy psów, połączone z próbami ich zdolności, przy których podziwiać można wspaniałe okazy, łączące w sobie idealnie główne cechy i zalety danej rasy. Nie rzadko też słyszeć można, że regestrowane, czyli książkowane psy takiej hodowli, dochodzą do cen bajecznych.

O wszystkich tych rzeczach wiemy ze słychu, z pism fachowych, lub z przygodnej bytności na jednej czy drugiej wystawie, wreszcie ze słono zapłaconych dogów lub bernardynów, które jakiś amator do kraju sprowadzi. Na to, ażeby się wziąć samym do dzieła, ażeby założyć towarzystwo kynologiczne i jedną lub drugą wzorową psiarnię z porządnemi rejestrami urządzić, nie mogliśmy się jakoś dotychczas zdobyć. Pocieszamy się za to tradycyami, żeśmy mieli niegdyś wspaniałe wyżły i ogary, dowodne charty, nieporównane gończaki i patrzymy się z obojętnością i rezygnacyą na niedobitki zawodowych i głośnych niegdyś psiarń.

Taki stan dłużej trwać nie może, a przedewszystkiem myśliwi powinni o tem pamiętać, że nie można już dalej po amatorsku i na dorywkę pieski sobie hodować, jeżeli nie ma się to skończyć inwazyą zagranicznych psów rasowych i wywozem grosza polskiego także i za ten towar. Chwila już ostatnia, ażeby ze znawstwem zawodowem przyglądnąć się materyałowi, który kraj posiada, ażeby oznaczyć ściśle rasy i odmiany, ażeby wreszcie przystąpić do zakładania zarodowych psiarń z tendencyą wyprowadzenia takich odmian, jakie dla naszych warunków myśliwskich są najodpowiedniejsze.

Nieraz spotkać się można u nas z opinią, że te wszystkie „Hundezwingery“ i „Hundesuchy“ to wymysł niemiecki który nie ma żadnej wartości, bo dobroć psa nie od jego regestru i rasy, ale od jego indywidualności, temperamentu, zmyślności, wiatru i t. d. zawisła. Czcza to gadanina. Nie ulega wątpliwości, i każdy myśliwy wie o tem, że jak w całym świecie zwierzęcym tak i między psami indywidualność bardzo wiele znaczy. Z jednego gniazda, ba, z jednego miotu może być jeden pies wyborny, a drugi gałgan. Ale to przecież każdy przyznać musi, że możność uzyskania wybornego psa jest stokroć razy większą, gdy mamy do czynienia z rozumnie obraną i ściśle w swej czystości utrzymywaną rasą, niż jeśli krzyżowania odbywają się po amatorsku, przygodnie i bez odpowiedniego nadzoru.

Prawda, że doktryneryzm książkowy może i tu doprowadzać do przesady, do przekulturowania rasy, w której nareszcie, chcąc wszystkie zalety mieć doskonałemi, wszystkie się osłabia i zatraca — lecz trafne współdziałanie teoryi i doświadczenia, jak w całej hodowli zwierząt tak i tu wskaże odpowiednią granicę.

A więc z racyonalną i ściśle fachową hodowlą psów trzeba w kraju rozpocząć — trzeba także pokazać zagranicy niedobitki tego nadzwyczajnego materyału gończaków, jaki podgórze nasze dotychczas posiada — trzeba pomyśleć o utrwaleniu tych legendowych kundysów, zaprawianych na dziki i prześcigających wszelkie niemieckie „Sauhundy“ — trzeba wreszcie poszukać, czy „polnischer Wasserhund“ jest jeszcze gdzie na świecie, lub czy już tylko jako myt tłucze się po książkach.

A nieobojętną będzie i ekonomiczna [illegible] knych a koniecznych projektów. Wszakci hodowcy psów za granicą miewają ładny dochód z swej pracy. U nas trudno już i na wielkich majątkach trzymać takie psiarnie jak ongi, owe psiarnie, który dały aż powód do przysłowia, że tego i owego „psy zjadły“. Psiarnia zarodowa wszakże, dobrze urządzona i mająca swą klientelę, to już nie luxus pański, to przedsiębiorstwo. A nadaje się ono przedewszystkiem dla leśniczych, którzyby zawodową hodowlą psów egzystencyę swą stale polepszać mogli. Jest więc i w tem bodziec, ażeby przystąpić raz do rzeczy roztropnie i energicznie.

Pole do tego otwiera nam tegoroczna wystawa krajowa we Lwowie. Sekcya łowiecka komitetu wystawowego postanowiła urządzić specyalną wystawę psów. Jaki jest jej cel i zakres, poucza program tej wystawy, który poniżej w całości podajemy. Tu zwrócimy tylko uwagę, że zgodnie z rozumnem zapatrywaniem na potrzeby krajowego myśliwstwa, dopuszcza sekcya psy pozakrajowe, ale zostawia również miejsce dla krajowych psów użytkowych i myśliwskich bez żadnego rodowodu, i każe je wedle prób na miejscu lub wiarogodnych świadectw ich zachowania się w polu oceniać i nagradzać — głównie dlatego, ażeby dać możność zapoznania się w całej rozciągłości z materyałem krajowym.

Konsekwencye wystawy takiej dla hodowli psów w kraju mogą być bardzo ważne — chodzi tylko o to, ażeby się nie rozpłynęły bez skutku. I tu pukamy do myśliwych i miłośników psów, ażeby nie zasypiali sprawy utworzenia towarzystwa kynologicznego, któreby, korzystając z wyników wystawy, sprawę zorganizowania hodowli psów wzięło w swe ręce.

Prosząc towarzyszy i czytelników naszych, aby zechcielnam przysyłać swe uwagi w tej mierze, przystępujemy do programu wystawy.

* * *

PROGRAM

wystawy psów na Powszechnej Wystawie krajowej we Lwowie r. 1894.

(Grupa VI.)

1. Wystawa psów jest czasową i odbędzie się w dniach 21, 22 i 23 września 1894.

2. Wystawa ta dzieli się na:

A. **krajową** — w której wystawione będą psy użytkowe, gospodarskie i łowieckie;

B. **pozakrajową** — do której przypuszczone będą wyłącznie rasy i odmiany psów książkowanych, czyli z udokumentowanem pochodzeniem.

A.

3. Celem wystawy krajowej jest:

a) zapoznanie szerszego ogółu z materyałem użytkowym psów krajowych, którebyw następstwie przy umiejętnym chowie i przy pomocy ewentualnie utworzyć się mogącego Towarzystwa kynologicznego, mogły służyć za podstawę ustalenia cech rasowych i wytworzenia odmian, odpowiadających potrzebom i stosunkom krajowym;

b) zapoznanie ogółu z rasami i odmianami psów szlachetnych, hodowanych za granicą, których szczególniejsze przymioty mogłyby w następnem krzyżowaniu przyczynić się do podniesienia chowu psów użytkowych i zbytkowych w kraju.

B.

4. Wystawa pozakrajowa obejmuje:

a) **psy łowieckie.**

1. Farbowce.
2. Charty.
3. Deerhounds (na jelenie).
4. Wyżły (różnego pochodzenia.)
5. Griffony.
6. Pointery.
7. Settery.
8. Jamniki.
9. Szwajcarskie biegusy.
10. Gończe w odmianach.
11. Bassety.
12. Foxterriery (w odmianach).
13. Foxhounds.
14. Staghounds.
15. Bigle.
16. Harriery.

b) **psy użytkowe.**

1. Dogi w odmianach.
2. Psy owczarskie.
3. Buldogi.
4. Psy z góry św. Bernarda.
5. Psy nowofundlandzkie.

c) **psy zbytkowe wszelkich ras i odmian.**

5. Z wystawą psów jest połączone premiowanie. W zasadzie wszystkie psy przypuszczone na wystawę orzeczeniem osobnej komisyi znawców (*Vorjury*) mogą konkurować o nagrody. Nagradzanie nastąpi oddzielnie w grupie krajowej (A) i w grupie pozakrajowej (B), bez porównywania okazów ich między sobą. Nagrody rozdzielone zostaną trzeciego dnia wystawy przez odnośne dwie komisye jurorów — a to:

a) w dyplomach honorowych,

b) w medalach srebrnych,

c) w medalach bronzowych,

d) w listach pochwalnych,

e) w gotówce.

Fundusz na nagrody powstaje:

a) z części placowego, przeznaczonej na ten cel przez Zarząd Wystawy.

b) z datków osób, interesujących się specyalnie tym działem Wystawy.

6. Komisye sędziów dla przyznawania nagród złożone będą jak następuje:

a) jury dla psów krajowych (A), utworzone zostanie z uproszonych członków galic. Towarzystwa gospodarskiego i kraj. Towarzystwa leśnego.

b) jury dla psów książkowanych składać się będzie ze znawców i hodowców psów szlachetnych w kraju i za granicą.

Jurorów zaprosi Dyrekcya Wystawy.

7. Regulamin na podstawie którego premiowanie nastąpi, ułożą komisye jurorów.

8. W drugim dniu Wystawy odbędą się próby zdolności psów łowieckich, częścią na placu Wystawy, częścią poza obrębem tegoż.

W próbach mogą brać udział psy łowieckie tak książkowane jakoteż nieksiążkowane.

9. Właścicielom względnie hodowcom psów, które przy próbach łowieckich najlepiej się popiszą, przyznawane będą oddzielne nagrody a mianowicie trofea, przybory myśliwskie i inne drobne przedmioty pamiątkowe. Przyznawać je będzie osobna komisya z trzech członków, do której wejdą delegaci z łona obu grup jurorów i członek Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego. Rozdawanie w tym dziale innych nagród prócz wyżej przytoczonych, przez poszczególnych członków ofiarowanych lub z funduszów tego działu zakupionych, nie może mieć miejsca.

10. Każdy wystawca opłaca placowe od psów wystawionych, które wynosi:

a) od psów łowieckich użytkowych 10 koron od sztuki;

b) od psów zbytkowych 15 koron od sztuki.

Za dozór i strawę opłaca się po 1 koronie dziennie od każdego psa wystawionego.

Dyrekcyi wystawy służy prawo częściowego opustu lub zupełnego uwolnienia od opłaty niezamożnych wystawców.

St.

PUSZCZA SANDOMIERSKA.

Kto nie widział północnego kąta Galicyi przy ujściu Sanu do Wisły, ten nie może mieć pojęcia o ogromie tych lasów, rozciągających się w nieprzerwanym łańcuchu od Sanu po Wisłokę na przestrzeni setki tysięcy morgów. Kraj to piaszczysty, monotonny, głuchy, w którym jednak rozsiadły się wielkie fortuny pańskie jak Rudnik, Nisko, Bojanów i Stany, Majdan, Kolbuszowa i inne, wynagradzając wielkiemi obszarami lasów lichą jakość gleby.

Oryginalny kraj ta puszcza. Zacząwszy od samego wyglądu okolicy, a skończywszy na ubiorze i mowie mazura, wszystko tchnie jakąś odrębnością. Jadąc od Rzeszowa na północ, już za głogowskim lasem, przerzniętym dwoma szosami do Raniżowa i Kolbuszowy, wjeżdżasz w równiny piaszczyste, miejscami podmokłe, a tak jednostajne, że oko zmęczone monotonnością widoków mimowoli szuka jakiego oparcia. Widnokrąg nie daleki, bo cały zamknięty lasami niby ramą, która zdaje się nieprzerwanie okalać te równie.

Miejscami jakoby mogiła olbrzymia sterczy wysoki pagórek, porosły zazwyczaj wysokopienną sośniną; to są wydmy stare, które od niepamiętnych lat same się ustaliły i zasiały naniesionem przez wiatry nasieniem. Coraz to rzadziej spotyka się tam wydmy, bo wzięto się energicznie do ich ustalenia i gdzie dawniej były całe przestrzenie lotnego piasku, naigrawającego się z wszelkiej roślinności, obecnie krzewią się wesołe zapusty sośniny.

Wsie tam wszystkie do siebie podobne, osiadłe nad strumieniami toczącemi leniwo żółtą wodę, rozciągają się na milę i dłużej. Chaty porządne, z oprawnego drzewa zbudowane, tworzą wraz z oborą i stodółką obejście, zamknięte szczelnym parkanem z sosnowych dranic. Sadów nie widać nigdzie, czasem tylko gdzieniegdzie rośnie wśród wsi wierzba lub brzoza. Piaszczysta, a podmokła gleba nie sprzyja widocznie chodowli drzew owocowych, a wieśniak nie może tyle trudu łożyć co dwory, aby przyjść do jakiego sadu.

Lud tu sympatyczny, pracowity, czysto ubrany w sukmanach, chodakach i ogromnej magierze na głowie o czterech kutasach kolorowych. Nierozdzielna z ubiorem mazura jest torba borsucza, zwyczaj ten widocznie przechował się od czasów, kiedy chłop wędrując za przemysłem po lesie zaopatrywał się na wypadek zabłąkania w parodniową żywność. Kobiety ubierają się schludnie, zwykle biało, rzadziej kolorowo, tylko na nogach noszą z granatowej włóczki pończochy i sznurowane trzewiki. Jedyną wadą tamtejszego chłopa jest nieprzezwyciężona żyłka do kłusownictwa, wada wielka, z którą potrzeba się liczyć i wiele trudów i czasu potrzeba, aby ją w mazurze wykorzenić. Gdzie to powoli przeprowadzono, tam właściciel w pierwszym lepszym chłopie ma doskonałego leśnego, znakomitego tropiciela, znającego naturę zwierza na wylot, pogonkę idealną, jaką tylko wymarzyć sobie można.

Wjechawszy w lasy tamtejsze uderzy każdego, zwłaszcza w lecie, upajająca woń żywiczna, ogarnia człowieka jakiś podziw i cześć dla tego majestatu przyrody i wtedy to poznać łatwo na czem polega dobrobyt tego kraju. Wspaniałe olbrzymy sosnowe, jak świece proste, mało co cieńsze u góry, jak przy odziomku, stanowią główny drzewostan tych lasów. Kto raz poznał dokładnie te lasy, ten je musi pokochać, kto raz słyszał szum drzew, rozmowę tych starców wiekowych przy zupełnej nawet ciszy, ten tej muzyki nigdy nie zapomni.

Uwaga rządu pilnie zwróconą jest na te lasy, które w razie wycięcia przemieniłyby się w jedną olbrzymią wydmę lotnych piasków. To też dzięki tej opiece, jakoteż samym właścicielom, którzy w dobrze zrozumianym własnym interesie lasy swe oszczędzają, puszcza Sandomierska ma wielką przyszłość, bo chociaż nie wszędzie już można spotykać wspaniałe dziewicze bory, jednakowoż staranne kultury, które w miejsce zrobionych zrębów bywają natychmiast zaprowadzone, dają pewną rękojmię trwałej egzystencyi tych lasów. Charakterystyczną jest tu także ruń lasowa. Ogromne mchy zarastają całą glebę lasową, pozwalając zaledwie miejscami wystrzelić smukłej paproci, gdzieindziej znów wrzosowiska lub borownik tworzą jedyne podszycie lasu.

Zakątek ten jest siedliskiem mnóstwa zwierzyny i zaiste dziwićby się musiał niejeden, skąd zwierz upodobał sobie ten kraj podmokły i ubogi w paszę, ktoby nie wiedział, że silna opieka racyonalnych gospodarzy-myśliwych czuwa nad tą ważną gałęzią gospodarstwa. To też fauna tych lasów jest bardzo bogatą. Spotkać się tu można z jeleniem i dzikiem, oprócz wielkiej ilości drobniejszej czworonogiej zwierzyny, z ptactwa zaś pojawia się tu nie rzadko głuszec, cietrzew, jarząbek i bardzo licznie kuropatwa.

Co zdziałać może umiejętnie prowadzona gospodarka łowiecka nawet na niekorzystnym terenie, mam dowód na kniei bojanowskiej, którą znam od dziecka. Przed laty piętnastu a nawet i później dziś już nieżyjący p. B. B. dobry myśliwy jadąc na polowanie brał z sobą 6 ładunków, mówiąc, że bardzoby się cieszył, gdyby wszystkie wystrzelał, — ja zaś wziąłem tego roku na 2-dniowe polowanie 40 ładunków, wystrzelałem wszystkie i jeszcze 16 musiałem pożyczyć, a zabiłem 40 sztuk.

Ale też pan Komorowski nie szczędzi trudów ani kosztów, aby podnieść stan zwierzyny. Kłusowników, których było nie mało, otoczył w porozumieniu z władzami tak troskliwą opieką, że ci głowy pokazać nie śmieją. Każdy leśny za zabitego jastrzębia ma 50 ct. za wyszukane gniazdo jastrzębie 1 zł. za srokę i wronę po 10 ct. borsuki i lisy płacą się po 1 zł. Lisy przeważnie się truje, teraz jednak tak mało jest tych rabusiów, że przez dwudniowe polowanie nie widziano ani jednego. Prócz tego nadleśniczy dostaje po polowaniu strzałowe za każdą sztukę. Zwierzyna płowa dostaje przez całą zimę żywność w koniczynie i snopach oprócz lizawek, to też nie mówiąc już o sarnach, których jest mnóstwo, jelenie od lat paru są stałymi mieszkańcami bojanowskich lasów, a obecnie o ile mi wiadomo jest 12 sztuk.

Wziąwszy teraz na uwagę spokój, jaki zwierzyna ma w tej kniei, nic dziwnego, że pierwsze miejsce pod względem ilości zwierzyny ma w tym zakątku knieja bojanowska.

Dnia 13 listopada polowaliśmy w Bojanowie w parę strzelb w rewirze Korabina, zapuście dwuchsetmorgowym odciętym od głównego kompleksu lasu, gdzie padło 54 zajęcy.

Dnia 4 grudnia w bojanowskim wielkim lesie od Pietropola w 12 strzelb zabito 137 zajęcy i 4 rogacze na 329 strzałów.

Drugiego dnia polowano w Świerczku a po południu w Chudomierzu; padło 125 zajęcy i 4 rogacze na 304 strzałów. Niestety brak śniegu niepozwolił otropić jeleni i dzików, braliśmy zresztą okrajki lasów, gdzie zwierzyna ta nie zachodzi, więc nie było nadziei spotkania. W każdym razie cyfra 262 zajęcy i 8 rogaczy jakąśmy rachowali na rozkładzie, świadczy o bardzo ładnym stanie zwierzyny, a podobno nie zrobiliśmy wielkiego uszczerbku w zwierzostanie, bo na małej poprószce śniegowej widziano tyle tropów, że można śmiało twierdzić, iż drugie tyle zajęcy zostało.

Dnia 12. i 13. grudnia polowaliśmy w Majdanie u p. Czesława Kozłowieckiego w 13 strzelb. Pierwszego dnia wzięto 10 miotów w Brzostowej Górze, gdzie na 108 strzałów padło 30 zajęcy, 3 lisy i rogacz. Drugiego dnia w Hucie Komorowskiej wzięto z podwójną pogonką 16 miotów, gdzie na 120 strzałów zabito dzika pojedynka, 6 rogaczy, 19 zajęcy, cietrzewia i 4 kuropatwy. Ilość cietrzewi jest tu rzeczą godną podziwienia, a mały rezultat tłumaczy się tem, że wielu myśliwych pierwszy raz widząc tego wspaniałego ptaka, bało się po prostu strzelać, aby cieciórki nie zabić.

Modestya nie pozwala mi zdradzić nazwiska myśliwego, który najwięcej i najszlachetniejszej nabił zwierzyny, przezco zyskał godność króla — zwierzył mi się jednak, że te polowania będą jednem z najmilszych wspomnień jego żywota, i gdyby mu przyszło piechotą na takie polowania pójść, nie zawachał by się ani na chwilę.

Hadle, 17. grudnia 1893. *Piotr Łastowiecki.*

KORESPONDENCYE.

Wieliczka, dnia 12. grudnia 1893.

(Epilog z „uczonymi" łowczymi).

W korespondencyach, zamieszczonych w nr. 10. i 12. *„Łowca"* podałem wam szczegóły, tyczące się poglądu władz na ustanawianie kwalifikowanych dozorców polowania po kniejach. Kończę te uwagi dzisiaj, posyłając odpisy jeszcze dwóch protokołów, spisanych w Starostwie i rozolucyj Namiestnictwa, które zarządzenia pierwszej instancyi uchyliło.

I. Protokół spisany w c. k. Starostwie w Wieliczce dnia 17 października 1893 przez niżej podpisanego. Dnia dzisiejszego przybył Józef Kot i oświadcza jak następuje: Nazywam się Józef Kot, jestem urodzony w Przebieczanach powiatu wielickiego w r. 1853, należę do parafii w Biskupicach, gdzie uczęszczałem do szkoły ludowej przez lat 3 i tam nauczyłem się trochę czytać i pisać. Zresztą nie uczęszczałem do żadnych szkół. Od dwunastu lat służę jako leśny we dworze w Biskupicach do dozoru lasu dworskiego. Jestem przy tym lesie jedyny dozorca, gdyż leśniczego tam nigdy nie było i niema. Dlatego też nigdy nie mogłem mieć żadnej praktyki, ażebym się coś mógł pod względem gospodarstwa lasowego i łowiectwa nauczyć, a że jestem zwykłym włościaninem i nie mającym żadnego majątku, nie mogłem się nigdzie wydalać, by się nauczyć czegoś więcej, jak tylko to, by pilnować od wyrządzenia szkody czyli niedopuszczenia kradzieży. *Józef Kot.* Na tem protokół zakończono i podpisano: *Kurykowski.* c. k. Starosta.

II. L. 88603. Do Pana c. k. Starosty w Wieliczce. Rezolucyą c. k. Starostwa z dnia 2 lipca 1893 l. 18588 odmówiono Henrykowi Mieroszowskiemu, właścicielowi dóbr i dzierżawcy polowania gminnego w Biskupicach, zatwierdzenia podanego przez niego na dozorcę polowania Józefa Kota, a równocześnie zawiadomiono go, że ponieważ nie chce ustanowić łowczego egzaminowanego czyli uczonego do dozorowania polowania na gruntach rustykalnych w Biskupicach, i ponieważ przyznaje, że obszar dworski nie ma uczonego łowczego do dozorowania polowania, przeto c. k. Starostwo rozpisuje licytacyę celem wydzierżawienia polowania na gruntach rustykalnych i dominikalnych w Biskupicach na dzień 30. listopada 1893 r. C. k. Namiestnictwo, uwzględniając rekurs Henryka Mieroszowskiego wniesiony przeciw powyższej rezolucyi c. k. Starostwa, zatwierdza Józefa Kota jako dozorcę polowania w Biskupicach, ponieważ tenże był tam lat 12 gajowym, musiał przeto nabyć dostatecznej rutyny, potrzebnej do wykonywania dozoru nad powierzonym mu okręgiem polowania, zwłaszcza że nie podniesiono przeciw niemu żadnych zarzutów natury osobistej.

Tem samem uchyla c. k. Namiestnictwo zarządzenia c. k. Starostwa, zmierzające do ponownego wydzierżawienia polowania gminnego w Biskupicach i pozostawia Henryka Mieroszowskiego jako dzierżawcę tego prawa polowania. O tem zawiadamia się Pana c. k. Starostę odnośnie do tutejszego reskryptu z dnia 18 września 1893 l. 61726 i przy zwrocie załączników sprawozdania z dnia 26 października 1893 l. 32559 z poleceniem bezwłocznego zawiadomienia rekurenta o treści niniejszej decyzyi.

Lwów d. 27. listopada 1893. *Łoś.*

III. Prtokół spisany w Skawinie na rokach wójtów dnia 3 października 1893 przez niżej podpisanego. Dnia dzisiejszego zgłosił się leśny Kajetan Jankowski z Korabnik i podaje jak następuje: Ja nie umię ani czytać ani pisać, jestem gospodarzem gruntowym i właścicielem realności rustykalnej w Korabnikach, a oraz jestem leśnym do lasów dworskich w Korabnikach już lat 30, bowiem sam liczę lat 57. Prócz mnie niema leśniczego ani drugiego leśnego do lasu dworskiego, który obejmuje niespełna 100 morgów. U leśniczego lub łowczego, u którego mógłbym się nauczyć chodowania, utrzymania i traktowania zwierząt nie byłem i dlatego fachowej kwalifikacyi do łowiectwa wykazać bym nie mógł. Kajetan Jankowski — podpisał Czapliniewicz. Na tem protokół zakończono i podpisano: D. u. s. Roch Zamorski. Kurykowski. c. k. Starosta.

IV. L. 88602. Do Pana c. k. Starosty w Wieliczce. Wskutek wezwania c. k. Starostwa doniósł Dr. Władysław Lisowski, właściciel dóbr i dzierżawca polowania gminnego w Korabnikach c. k. Starostwu, że ustanawia dozorcą polowania w Korabnikach zaprzysiężonego gajowego Kajetana Jankowskiego Załatwiając to doniesienie, c. k. Starostwo rezolucyą z dnia 10 lipca 1893 l. 22280 orzekło, że Kajetan Jankowski nietylko nie jest uczonym łowczym ale nawet nie starał się udowodnić swej kwalifikacyi do umiejętnego dozorowania łowiectwa i wobec tego rozpisało ponowną licytacyę na dzierżawę polowania na gruntach gminnych i dworskich w Korabnikach, wyznaczając termin na dzień 3 grudnia 1893 w rzędzie gminnym w Skawinie, motywując to zarządzenie tem, że dr. Lisowski nie zastosował się do postanowień §. 13 rozporządzenia ministeryalnego z dnia 15 grudnia 1852 Dz. p. p. Nr. 257 ani też do postanowień §. 5. ces. patentu z dnia 7. marca 1849 Dz. p. p. nr. 154, według których uczeni łowcy mają być ustanowieni do nadzoru nietylko wydzierżawionych polowań, ale także i do polowań na gruntach własnych, przenoszących 200 morgów. Wskutek rekursu dra Władysława Lisowskiego uchyla c. k. Namiestnictwo w zupełności tę rezolucyę i zatwierdza Kajetana Jankowskiego, jako dozorcę polowania w Korabnikach, ponieważ Kajetan Jankowski, jak akta wykazują, był od 25 lat zaprzysiężonym gajowym, zatem należy przyjąć, że tenże posiada dostateczne fachowe uzdolnienie do nadzoru polowania, zwłaszcza, że nie podniesiono przeciw niemu żadnych zarzutów natury osobistej. Tem samem unieważnia c. k. Namiestnictwo zarządzenie c. k. Starostwa z dnia 10 lipca 1893 l. 22280, którem rozpisano licytacyę polowania w Korabnikach na dzień 3 grudnia 1893 z uwagą, że rozpisanie licytacyi polowania na gruntach dominikalnych przenoszących 200 morgów (115 H. a.) sprzeciwia się postanowieniom §. 5 ces. patentu z d. 7 marca 1849 Dz. p. p. nr. 124 i §. 15 rozporządzenia ministeryalnego z 15 grudnia 1852 Dz. p. p. nr. 257, a przeprowadzenie licytacyi w Skawinie, to jest nie w tem miejscu gdzie polityczna władza powiatowa ma swoją siedzibę jest niezgodne z postanowieniem §. 2 rozp. min. z 15 grudnia 1852 Dz. p. p. nr. 257. Załączniki sprawozdania z d. 25 października 1893 l. 32824 zwraca się do dalszego zarządzenia.

Lwów, d. 1. grudnia 1893. — W zastępstwie: *Łoś.*

Nie potrzeba zdaje się nic więcej, jak tenoru powyższych protokołów, ażeby się zapoznać z jałową formalistyką, z jaką władze sprawy swe urzędowe częstokroć załatwiają. Zamiast śmiesznego pytania, czy Józef Kot nie jeździł do

jakiej, akademii, aby się wykierować na uczonego łowczego; należało go raczej zapytać, czy strzela ptactwo drapieżne, czy ma polecenie tępienia lisów, czy rozkłada karmę dla zwierzyny w czasie zim zawalnych, czy robił kiedy lizawki, czy zna się na wabieniu zwierząt i umie rozpoznać wabiącego kłusownika, czy prowadził kiedy nagonkę itd. itd. Na podstawie takich i tym podobnych pytań mógł pan Starosta — jeśli się sam cokolwiek na myśliwstwie rozumie — zbadać i ocenić, czy Józef Kot jest na dozorcę polowania kwalifikowanym — bo zaiste sarny nic a nic sobie z tego nie robią, czy biedny Kot umie jeszcze co czytać lub całkiem już zapomniał. To też Namiestnictwo, nie mając pozytywnych danych do stwierdzenia dodatnich stron Kota i Jankowskiego, postąpiło i sprawiedliwie i rozważnie, motywując zniesienie zarządzeń Starostwa tem, że się w ogóle na długoletnią praktykę rzeczonych dozorców powołało i położyło nacisk na brak zarzutów osobistej natury przeciwko tymże.

Zdaje mi się, że sama publikacya tych aktów wystarczy, ażeby dać wskazówkę władzom pierwszej instancyi, jak mają w podobnych wypadkach postępować i ochroni ich od odsłaniania swej nieznajomości przedmiotu i podkopywania własnej powagi. *R.*

Łańcut dnia 26 grudnia 1893.

(Spóźniona przepiórka).

Dnia 11. listopada b. r. polując na zające, spotkałem przepiórkę, 4. grudnia zaś drugą, zupełnie wykształconą, bez żadnej ułomności i oblaną, trudno więc dociec powodu, dlaczego tak późno, bo po kilku dość silnych już mrozach i śniegu, jeszcze nie odciągnęła. Są to widać skutki za mokrego i zimnego lata; bo lęg pierwszy, szczególnie ptactwa, zupełnie prawie tego roku nie dopisał, zaś to co się wylęgło, jest tak spóźnione, niedorosłe, nikłe i wątłe, że, jakto widać po przepiórkach, niektóre jeszcze w grudniu odciągnąć nie mogły. *Wł. Lewicki.*

Sprawozdania łowieckie

Z Galicyi.

— Na polach ordynacyi Łańcuckiej odbyło się dnia 18. listopada polowanie w dziesięć strzelb i ubito w niespełna pół dnia: 123 zajęcy, 27 bażantów i 4 kuropatwy.

W przeciągu całego roku ubito na tychże polach ze zwierzyny pożytecznej: 18 rogaczy, 229 zajęcy, 35 bażantów, 59 kuropatw, 296 przepiórek, 12 dubeltów, 37 kszyków, 6 kaczek krzyżówek, 11 cyranek — razem sztuk 703, zaś ze zwierzyny drapieżnej: 80 lisów, 146 psów, 226 kotów, 1 kunę, 15 tchórzy, 75 łasic, 42 jastrzębi dużych, 57 jastrzębi małych, 11 kruków, 988 wron i srok, razem sztuk 1640. *Wł. Lewicki.*

W Horodence na polowaniu odbytem w dniu 30. listop. i 1 grudnia w 14 strzelb ubito 5 dzików, 17 kozłów, 9 lisów, 68 zajęcy i puhacza (*Bubo maximus*). Strzałów dano 207. Polowaliśmy przez dwa dni i dziennie brano po trzy mioty. Niejednego może zdziwi mała ilość miotów, ale tłómaczenie łatwe, skoro dodam, że przeważnie poluje się na ściankach Dniestrowych. Stan sarn nadzwyczajnie piękny i temu to zdaje się przypisać należy, że płeć piękna należytego poszanowania nie znalazła i na nieszczęście kilka reprezentantek sarniego rodu, nie mogąc przeżyć rozłączenia z małżonkami, braćmi lub kuzynkami, wolały bodaj na rozkładzie połączyć się z nimi. Jedną z nich, młodą samobójczynię, widziałem jak w chwili, kiedy stadko ze sześciu sztuk złożone w całym pędzie przeskakiwało rów, dzielący wysoki las od młodego zapustu wyskoczyła, desperacko naprzeciw z zapustu i tak silnie zderzyła się w powietrzu z drugą, że wpadła do rowu z połamanymi przednimi badylami i musiano ją dostrzelić. Nie pierwszy raz jestem na polowaniu w Horodence i niechciałbym gospodarzowi prawić komplementów, ale nie mogę nie dodać w mojem krótkiem sprawozdaniu, że polowanie, szczególniej jeśli się zważy trudność terenu i połamaną konfiguracyę lasu, pod każdym względem wzorowo było prowadzone. *Stefan Szembek.*

— W Chorostkowie u Ekscelencyi hr. Siemieńskiego, polowaliśmy dnia 19 i 20-go grudnia w 12 strzelb. Na rozkładzie było 119 zajęcy, 4 kozły i 2 lisy. Kozłom bardzo dobrze się powiodło, bo pierwszego dnia, będąc zmuszeni jeździć po lesie wozami, niemiłosiernie sarny wypłaszaliśmy sobie z miotów; drugiego dnia gospodarz kazał przygotować do jazdy po lesie sanie, ale i to nie pomogło, bo znowu myśliwi zdecydowani byli pozostawić rogacze na odstrzelenie na podjeździe w lecie, żeby zacytować tylko jeden miot, nie mówiąc o kilku innych, gdzie strzelano do 8-miu kozłów a wyniesiono tylko dwa. Strzelano także do sporego wycinka, na nieszczęście śrutem, a więc bezskutecznie, drugi zaś dzik przeszedł bez strzału obok myśliwego na kilka kroków w chwili, gdy tenże zajęty był dobijaniem postrzelonego zająca. Podwójna nagonka wzorowo prowadzona pozwoliła nam pomimo tak krótkiego dnia i trzech, milowej jazdy do lasu pierwszego dnia wziąć 13, drugiego zaś 10 miotów. *Stefan Szembek.*

— W Podhajczykach, u hr. Róży Koziebrodzkiej, odbyło się dnia 6. i 7. grudnia polowanie, w którem brał także udział J. C. W. Arcyksiążę Leopold Salwator. Zabito 1 4 zajęcy, 8 rogaczy i 5 lisów. Zwierzostan w Podhajczykach utrzymany jest bardzo starannie, sarn dużo jakoteż i zajęcy. Drugiego dnia, gdy powracano z polowania, na górach otaczających Podhajczyki paliły się beczki ze smołą. Podhajczyki leżą w dolinie nad Seretem. Wszystkie dworskie budynki jakoteż i każda chata włościańska były illuminowane. Nam przyjeżdżającym od Janowa z góry ku dolinie przedstawiał się widok wspaniały. Przed powozem wiozącym Arcyksięcia jechali hajducy z pochodniami. Oprócz Arcyksięcia byli następujący panowie: gospodarz domu hr. Józef Koziebrodzki, który doskonale przewodził polowaniu, dalej hr. Szczęsny Koziebrodzki z synem hr. Ludwikiem, Michał hr Baworowski, Aleksander hr. Potocki, adjutant Arcyksięcia baron Lazarini i straż leśna. Uczestnikom polowania na długo pozostanie ono w pamięci i dostojny gość wywiózł zapewne najmilsze wspomnienie o kniei podhajczyckiej jakoteż i z gościnnego domu hr. Koziebrodzkich.

Aleksander hr. Potocki.

— W Ossowcach, majątku hr. Aleksandra Potockiego, polowano 12. grudnia w pięć strzelb. Zabito 64 zajęcy, rogacza i 2 lisy. Opolowano las przestrzeni 270 morgów. Strzelb było za mało, skutkiem czego dużo zajęcy uszło bez strzału. W innym wypadku byłoby padło około 100 zajęcy i kilka rogaczy.

— W Krzeszowicach u hr. Andrzeja Potockiego ubito d 5. grudnia w 10 strzelb 68 zajęcy, 2 rogacze, 2 cietrzewie i 1 lisa, zaś d 6 grudnia w 8 strzelb 128 zajęcy, 2 rogacze i 2 lisy. Zastrzelono także jedną słonkę — rzad-

kość jak na grudzień nadzwyczajną — którą tylko bardzo łagodnej zimie przypisać należy.

— W Porembie u hr. Szembeka na polowaniu w 8 strzelb ubito 40 zajęcy, 2 rogacze i cietrzewia.

— W Przewozie odbyło się w grudniu polowanie kociołkowe krakowskiego Towarzystwa łowieckiego. W 9 strzelb ubito 20 zajęcy; znacznie więcej uszło z życiem mimo licznych strzałów.

— W Barwinku pod Duklą, podczas polowania na wilki w lasach p. Thoneta, zabił p. Rud. Sedlarz z dubeltówki dwa bardzo piękne rysie. Podczas nagonki widziano cztery okazy tego drapieżcy, dwa jednak tylko nawinęły się pod strzał.

— W Jasionce u p Stanisława Jędrzejowicza, odbyło się d. 5 grudnia polowanie, na którem w ośm strzelb zabito 8 rogaczy, 3 lisy, jednego dzika i 94 zajęcy.

Z Królestwa polskiego.

— W Radziejowicach, u hr. Józefa Krasińskiego, odbyły się dwa polowania w dniach 7—8 listopada. Na pierwszem z tych polowań, w którem brało udział 12 myśliwych, ubito rogacza i 184 zajęcy. Czas był pogodny. Na drugiem polowaniu, w czasie dżdżystym, padło jedynie 28 zajęcy. Rewiry najobfitsze w zwierzynę zostawiono na później.

— W Brzeziu (w pow. inowrocławskim) u p. Leopolda Kronenberga, polowano w 12 strzelb w dniach 17 i 18 listopada i ubito w polu i w lasach 2 kozły, 556 zajęcy, 36 kuropatw i lisa. Uczestnikami łowów byli oprócz gospodarza pp.: Stefan ks. Lubomirski (młodszy), Bronisław Rzewuski, Maciej ks. Radziwiłł, Karol Zieliński, Józef Komierowski, Włodzimierz ks. Czetwertyński, August hr. Potocki, Wiktor Reszke, Adam Michalski i t. d.

— W Jabłonnie, u hr. Augusta Potockiego, na polowaniu, w którem brali udział mniej więcej ci sami myśliwi co w Brzeziu, a nadto ordynat hr. Zamoyski, konsul Grant pp. Hornowski i Bonnet, zabito 7 kozłów, 530 zajęcy i 11 kuropatw.

Dobry stan zwierzyny w tej kniei zawdzięcza się głównie starannemu i wytrwałemu tępieniu szkodnika. W dobrach Nieporęt i Jabłonna ubito w ostatnich 9 latach 332 lisów, 55 kun, 22 łasic, 107 tchórzów, 110 jastrzębi, oraz 5627 wron, sów i t. p. W walce z czworonożnemi i skrzydlatemi szkodnikami zastosowano system premij, płacąc za każdego zabitego lisa i kunę po 50 kop., za łasicę 15 k., za tchórza 25 k., za jastrzębia 20 k. i za każdą inną sztukę po 5 k W ogóle na powyższy cel w ciągu 9 lat wydano 726 rs. 90 k., co niewątpliwie wróciło się z procentem właścicielowi w przyroście zwierzyny.

— W Orłowie, u p. Konstantego Ossetti'ego, odbyło się polowanie w d. 25 listopada. Polowano tylko w sześć strzelb i przez pięć godzin, a ubito 204 zajęcy i 20 kuropatw. Świadczy to o obfitości zwierzyny i dobrem utrzymaniu rewiru łowieckiego.

— W Parzymiechach u hr. Władysława Potockiego odbyło się polowanie w dniach 27 i 28 października. Pierwszego dnia strzelano głównie do bażantów w trzydziesto-morgowej, wybornie utrzymanej bażantarni, a przy tem zajmowano także pobliskie remizy polne. W ośm strzelb ubito 43 bażantów, 18 zajęcy i 2 kuropatwy.

D. 28. października odbywało się polowanie w kociołkach na zrębie leśnym. Tu padło 165 zajęcy, 2 króliki, 5 słonek, 5 cietrzewi, 8 kuropatw i jastrząb.

— W Zegrzu u ks. Macieja Radziwiłła odbyło się polowanie w jedenaście strzelb w dniach 22 i 23 listopada. Na rozkładzie znalazło się 7 kozłów, 3 lisy, 264 zajęcy i 2 jastrzębie. Strzałów padło mniej niż po dwa na sztukę. Dzików, które się w kniei tej zwykle trafiały, nie było tym razem.

— W Łaziskach (gub. radomska) u p. Kazimierza Boskiego, odbyło się polowanie dnia 4 grudnia. W siedm strzelb ubito 50 zajęcy.

— W Pótworowie (gub radomska), u p. Stanisława Bonieckiego, odbyło się dwudniowe polowanie: 4 i 5 grudnia, na którem padło 160 zajęcy, 7 kozłów, 1 lis i 4 cietrzewie. Królem polowania był hr. Gustaw Łubieński.

— W Książewie, pod Grodziskiem polowano d. 5 grudnia w 15 sztrzelb i ubito 56 zajęcy.

W Szczawinie (gub. łomżyńska, pow. ostrołęcki), u p. Mikołaja Glinki, w dniu 6 grudnia odbyło się polowanie w 13 strzelb, na którem padło 33 zajęcy. Pogoda była mroźna i nieco wietrzna.

— W Dzierzbicach (gub. kaliska) w d. 11 z. m. odbyło się doroczne polowanie. Dzień był ciepły i trochę mglisty, mimo to w 6 tylko miotach w 17 strzelb zabito 338 zajęcy, lisa, 2 bażanty i 9 kuropatw.

KRONIKA.

OD REDAKCYI. Wraz z życzeniami noworocznemi zanosimy do łaskawych czytelników naszych prośbę o przesyłanie nam wiadomości z zakresu myśliwstwa i o sprawozdania z łowów. Pragnęlibyśmy, aby *Łowiec* był jak zawsze wiernym i pełnym obrazem życia myśliwskiego w kraju, a nie uzyskamy tego, jeśli każdy z towarzyszy myśliwskich nie będzie się poczuwał do obowiązku zasilania go wiadomościami. Nie chodzi o wielkie i opracowane korespondencye — i najmniejsza notatka (byle nie łaciną myśliwską napisana) będzie przydatna i z wdzięcznością przyjęta. A ponieważ jesteśmy już w proszeniu nienasyceni, to prosimy i o to, ażeby nam przysyłano wiadomości na tydzień przed końcem miesiąca, gdyż inaczej nie można już dla nich znaleść miejsca w najbliższym numerze, lub wydanie numeru się spaźnia.

Tej okoliczności prosimy także przypisać kilkudniowe opóźnienie w wydaniu niniejszego numeru.

Dworskie łowy w Hodoninie (Göding) odbyły się dnia 24 listopada i 7 grudnia z. r. Na pierwszem z tych polowań padło: 17 rogaczy, 960 zajęcy, 208 królików, 632 bażantów i 302 kuropatw; na drugiem: 12 rogaczy, 753 zajęcy, 317 królików, 897 bażantów i 372 kuropatw. W obu brał udział arcyks. Franciszek Ferdynand Este.

Cztery kozice na dwie dublety położył 18-letni arcyksiążę Władysław, syn arcyks. Józefa, polując w jesieni w Tatrach węgierskich. Niezwykłe to szczęście łowieckie i pierwszorzędna pewność strzału.

Łabędzia dzikiego, gędźca (*Cygnus musicus*), mającego ponad 2 metry sięgu skrzydeł, ubił d. 20 grudnia p. W. Suchodolski na Dniestrze w Uściu koło Rozwadowa. Zjawienie się tego ptaka o tak późnej

porze na naszych wodach należy do rzadkości. Przypisać to wypada zimie do końca grudnia nadzwyczaj łagodnej i wodom wszędzie otwartym.

Ciekawego zająca zabił jeden z kupców królewieckich na polowaniu między Neuhausen i Knöppelsdorf w Prusach wschodnich. Szarak miał na szyi za pomocą łańcuszka umocowaną blaszkę z napisem: „Wypuszczony po czterotygodniowem więzieniu jako mały zajączek. Czyj strzał mnie trafi, niech zawiadomi niżej wymienionego mego hodowcę. Glautienen, koło Kreuzburga, 12 maja 1888 r. Bärwald, właściciel ziemski“. A zatem w ciągu 5½ lat udało się szarakowi ustrzedz śmiercionośnego ołowiu i zawędrować z Kreuzburga do Neuhausen.

Pogrzeb lisa. P. Pettera, kierownik polowań dworskich w Gödöllö, pisze w *Jagd Zgt.* co następuje: Jeden z mych leśnych struł w 200-morgowej parceli leśnej trzy lisy strychniną. Nazajutrz po położeniu trutki idzie rewidować, co się z nią stało, widzi, że trutka zjedzona, ale lisa nie ma w pobliżu. Postępuje dalej i odszukuje na świeżej oraninie liczne tropy lisie, które się na kilkaset kroków ciągną, a obok nich najwyraźniejszy ślad, że jakiś przedmiot po ziemi wleczono. W końcu doszedł leśny do miejsca, jakgdyby świeżo skopanego i tropami lisiemi okrytego. Przypuszczał, że będzie tam zagrzebany przez lisy zając, ale sondowanie przekonało go wkrótce, że zagrzebanem stworzeniem był lis strychniną otruty i jeszcze ciepły. Pogrzebały go inne lisy. O tem, żeby się lisy zajmywały grzebaniem swych zmarłych, niewiedziałem dotychczas, a wątpię iżby to lisy czyniły z miłości bliźniego, lecz zapowne dlatego, aby mieć żer na czarną godzinę.

Olbrzymia ryba. „Sarat. List.“ donosi, iż do Saratowa przywieziono niedawno białugę, złowioną przez rybaka z Usowa w „Czardymskiej Wołdze“, ważącą blisko 30 pudów. Z olbrzymiej tej ryby wydobyto czystej ikry 5 pudów, wartości 380 rs., zaś mięsa było 18 pudów wartości rs. 90, czyli ogółem rybka przyniosła rybakowi piękną sumkę — 470 rubli. Rybę wysłano do Moskwy.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zimorowicza 7.

TREŚĆ: „Z Nowym Rokiem“. — Władysław Spausta: „Wśród zatopu“. — „Łowy pana Marka“. — *St.* „Wystawa psów“. — „Puszcza sandomierska“. — Korespondencye: „Z Wieliczki“, „Z Łańcuta“. — „Sprawozdania łowieckie“. — Kronika.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.